

Fran Baker

Miłość na rozdrożu

Tytuł oryginału:
The Window And The Wildcatter
Pierwsze wydanie:
Bantam Books 1988, New York
Przełożyła:
Katarzyna Głowacka



KWIECIEŃ 1935

Różdżkarz stanął w polu kukurydzy w bezruchu czekając, aż nadejdzie właściwa chwila. Jego twarz z zamkniętymi oczami zwrócona była w kierunku bezkresnego nieba. Wiatr groził porwaniem jego zniszczonego piłśniowego kapelusza, lecz ręce pozostały jakby przyklejone do boków, dłonie wyciągnięte równoległe do powierzchni ziemi.

Dla jego pięcioletniej córki, stojącej na skraju pola z nowo poznanymi przyjaciółmi, było to zjawisko codzienne. Dla ciężko pracującego farmera i ciężarnej żony był to jednak akt ostatniego wysiłku, by zmienić swój los.

Podczas gdy chmura kurzu opadała na równinę, ciepły dzień stopniowo ochładzał się. Potężne topole amerykańskie poddawały się woli wiatru. Duży królik pokonał odległe wzgórze w kilku susach, zmierzając w kierunku tonącego w słońcu gaju pomarańczy.

Nagle różdżkarz drgnął! Całe jego ciało skręciło się w jakimś wewnętrznym rytmie. Wtem począł zataczać coraz większe kręgi, mrużąc pod nosem jakąś dziwną pieśń. Chwilami ruchy tańczącego stawały się bardziej gwałtowne. Piasek wypełniał jego oczy i usta.

Gromady ptaków wrzaskliwie krążyły nad polem. Niektóre z nich spadały podczas lotu, gdy kurz zatkał im płuca.

W końcu różdżkarz przestał tańczyć. Ciałem jego wstrząsały jakieś dziwne dreszcze. Stopy wydawały się być przytwierdzone do jakiegoś szczególnego miejsca. Minęły trzy, może cztery minuty,

podczas gdy on stał wciąż w tym samym miejscu, a pot sływał po jego twarzy. Farmer i jego żona czekali z nadzieją, modląc się o cud.

Wtem mężczyzna pochylił się i skierował dłonie do ziemi, poruszając nimi w półobrocie tak, jakby szukał czegoś w ciemności. Nagle powiew wiatru porwał jego kapelusz. Ciało mężczyzny wstrząsane było coraz częstszymi skurczami, aż w końcu runął na ziemię.

Farmer był pewien, iż ródźkarz nie żyje. Jego żona wyciągnęła ogryzek ołówka z kieszeni fartucha i wykonała szkic na odwrotnej stronie przepisu na szarlotkę.

Mała dziewczynka ułamała gałąź z pobliskiego krzewu i wbiła ją w ziemię u stóp ojca. Nagle odwróciła się do zatrwożonej młodej pary i powiedziała:

– Oto wasza ropa.

1.

– Pan McCoy?

– Tu jestem.

Joni spojrzała w górę i zobaczyła twarz nafcjarza wyrażającą dezaprobatę. Stał na wąskiej platformie zawieszanej ponad poziomem wiertła.

– Pan mnie nie zna – krzyknęła – ale...

Przyłożył rękę do ucha i potrząsnął głową na znak, że nic nie słyszy w nieustającym hałasie ludzi i maszyn.

Zaświtała jej pewna myśl, która ją przeraziła. Gwałtowne uderzenie wiatru to przerażenie jeszcze spotęgowało. Wtem przypomniała sobie powód przybycia tutaj. Przyłożywszy obie ręce do ust na kształt megafonu, krzyknęła jak mogła najgłośniejsz.

– Jak mogę się tam dostać?

– Nie wolno! – wrzasnął, podkreślając ważność swych słów nie znoszącym sprzeciwu ruchem palca. Joni zdała sobie sprawę, że właśnie polecił jednemu z sześciu ludzi pracujących przy szybie pozbyć się jej, lecz ona doszła zbyt daleko, by się teraz cofnąć. Mimo lęku wysokości szła w kierunku platformy, na której leżało kilka kawałków rury. Do jednej z nich przytwierdzone było narzędzie w kształcie kotwicy.

– Przepraszam panią – kościsty mężczyzna chwycił ją za łokieć, zanim zdążyła odskoczyć. Obcym wstęp wzbroniony.

– Ale...

– Żadnych wyjątków, proszę pani.

Joni patrzyła z zaskakującym uczuciem ulgi, jak platforma

podnosi się ku niebu bez niej. Nie była zbyt odważna. Jednak nie zwykła poddawać się bez walki.

– Pan nic rozumie próbowała wyjaśnić. Muszę natychmiast rozmawiać z panem McCoy.

Mężczyzna trzymał ją mocno za łokieć jednocześnie prowadząc do schodów wiodących w dół.

– Proszę więc zadzwonić do jego domu i zostawić wiadomość automatycznej sekretarce.

– Ależ zostawiłam mnóstwo wiadomości w ciągu ostatnich dwóch tygodni! – argumentowała. – Nie odezwał się.

– Pan McCoy to człowiek interesu. – Co prawda nieznamy nie użył dosadnego słowa na określenie człowieka, który takich rzeczy nie widzi na pierwszy rzut oka, lecz treść tego stwierdzenia widoczna była na jego ubłoconej twarzy. – Poza tym – rzucił okiem na jej szczupłą sylwetkę – nie ma zbyt wiele czasu na mieszanie interesów z przyjemnościami.

– Właśnie to staram się panu powiedzieć! – Joni zatrzymała się nagle i oswobodziła z jego uścisku. – Tu chodzi o interesy.

Mężczyzna zatrzymał się i zsunął kapelusz z czoła, odkrywając daleką linię włosów.

– No to co innego.

– Miałam taką nadzieję – odpowiedziała.

Zamyślił się.

– W takim razie proszę mi zostawić wiadomość, a ja mu ją przekażę, kiedy uporamy się ze świdrem.

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– To jest zbyt osobista sprawa – przyznała niechętnie.

Spojrzał na nią, jakby postradała zmysły.

– Proszę pani, niech się pani wreszcie zdecyduje!

Czerwieniąc się powiedziała.

– To sprawa natury osobistej.

– Hej, Tex! – jeden z robotników przyciągnął jego uwagę, zanim zdołał sformułować odpowiedź. – Czy możesz mi pomóc?

– Zaraz przyjdę – zapewnił go, jednocześnie mierząc intruza

niechętnym wzrokiem.

Joni postanowiła wykorzystać nadarzącą się okazję.

– Zaczekam tutaj... przyrzekam – zapewniła.

Podniósł ręce w górę, jakby chciał powiedzieć: ach te kobiety. Następnie, mrużąc pod nosem przekleństwa, odwrócił się i pobiegł w górę po schodach. Na szczycie zatrzymał się i rzucił jej kask, który wybrał ze sterty w składzie.

– Jeżeli zamierza pani czekać tutaj, musi to pani założyć – krzyknął.

Złapała i włożyła kask na głowę, ukrywszy pod nim włosy.

– Dzięki, Tex – zawołała.

Odpowiedział ruchem głowy i odwrócił się, ale zdążyła zauważyć cień grymasu na jego ustach. Joni zrobiła tak jak obiecała i pozostała na miejscu. Podczas gdy nafciarz pracował przy szybie, ona porównywała to miejsce wierceń z innymi, które ostatnio widziała. Z wyjątkiem kilku drobnych różnic wszystkie wyglądały podobnie.

Strażnik stał w poprzek drogi przy zabrudzonych ciężarówkach w tym również i jej własnej zaparkowanych tuż przed biurem.

Promienie słoneczne tak oświetliły sterty rur, że wyglądały one jak wielkie organy.

Wiertło uniosło się wysoko w górę i gruba warstwa czerwonej gliny pokryła wszystko, nawet...

Moje najlepsze jeansy! wybuchnęła, kiedy zauważyła mazistą substancję o konsystencji kleju przywierającą do jej drelichowych spodni.

Dziękując w skrytości ducha, że nie założyła tenisówek, ustawiła się tak, by mieć najlepszy widok. Obecnie na platformie było jeszcze dwóch robotników, lecz pomimo to Joni była w stanie rozpoznać nafciarza, który stał pośrodku. Tak jak reszta jego załogi, nosił buty o stalowych noskach, ubłocone jeansy i koszulę, która kiedyś była prawdopodobnie biała.

Giętki i ruchliwy jak pantera, poruszał się ze świadomością człowieka całkowicie zadowolonego z siebie i swych najbliższych współpracowników. I kiedy nosił kask zawadiacko przekrzywiony

na bakier, było oczywistym, nawet dla najbardziej przypadkowego obserwatora, że trzyma swoją załogę krótko.

Stanął na skraju platformy i wziął jedną z rur, którą mu podał Tex. Wszystkie oczy były zwrócone na jego sylwetkę przywódcy, wszyscy doświadczali ważności chwili i związanego z nią niebezpieczeństwa.

Przyglądając się jego załodze, wpatrzonyj weń z tak szczerym podziwem, Joni zrozumiała dlaczego jest on uważany za jednego z najlepszych w tym fachu.

Wiatr potrząsał szybem bezlitośnie. Joni poczuła jak żołądek podchodzi jej do gardła, gdy zorientowała się, że nafciarz jest jedynym tam, na górze, który nie ma linki ochronnej. Chciała odwrócić oczy, lecz nie mogła. Stała i patrzyła zupełnie jak zahipnotyzowana.

Nafciarz wychylił się poprzez platformę i zaczął obniżać wiertło w kierunku kwadratowego otworu szybu. Troska o niego uwidoczniła się na jej ustach i pogłębiła, gdy jeden z ludzi po jego prawej stronie zamontował drugą rurę na szczycie pierwszej, powodując ich obrót, jak wydłużonego wahadła. A kiedy trzeci mężczyzna sięgnął po lampę lutowniczą, by zgrzać wszystko razem zdecydowała, że widziała już wystarczająco dużo i zamknęła oczy.

– Nie zatrzymujcie jej ktoś nagle wydał polecenie.

Joni podskoczyła, gdy maszyna diesla, która zasilala wiertło, obudziła się do życia. Otworzyła szeroko oczy, przyglądając się platformie bezpiecznie opuszczającej trzech ludzi do poziomu wiertła.

Gdy nafciarz zszedł wreszcie z szybu, załoga otoczyła go gromadnie, śmiejąc się i klepiąc po plecach. Pompa zawarkotała, metal uderzył o metal i wiertło znowu pracowało jak należy.

Stojąc na poboczu, Joni czuła się całkowicie obco, dopóki Tex nie wskazał jej szefowi. Twarz nafciarza pobladła, gdy spojrział w jej kierunku. Wyglądało na to, że zobaczył coś, co mu się bardzo nie podoba. I rzeczywiście tak było.

Po spędzeniu połowy nocy i prawie całego ranka na warcie

przyglądanie się chudej, ubranej po męsku kobiecie było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. To, czego w tej chwili najbardziej pożądał, to gorący prysznic, zimne piwo i pełne osiem godzin drzemki.

Mimo że Joni starała się zachować pozory obojętności, skóra wiejskiej dziewczyny, pod masą piegów na nosie i policzkach, wyraźnie pobladła. Z pewnością nie wygrałaby żadnego konkursu piękności w takim stroju, jednak jego ubranie również pozostawiało wiele do życzenia.

Stała w miejscu, zastanawiając się jak go podejść. Zmierzył ją groźnym spojrzeniem, szukając gorączkowo pretekstu do ucieczki. Nie zrażona jego zachowaniem wykonała prowokujący ruch głową, wywołując uśmiech podziwu na jego twarzy. Nie spuszczała z siebie wzroku, dopóki nie spotkali się na dole. Mimo iż niepewnie stawiał kroki, była całkowicie świadoma olbrzymiej siły tego człowieka.

Wskazał na biuro i już nie spoglądając na nią od razu się tam udał. Podążając za nim, była tak szczęśliwa na myśl, iż go wreszcie odnalazła, że wszystko, co była w stanie w tym momencie zrobić, to jedynie nie dać po sobie poznać, jak bardzo jej na tym zależało. Jednak był to przecież tylko zwykły interes. Przypomnienie słów Texa, sprowadzającego ją z szybu, pomogło jej ujrzeć wydarzenia we właściwych proporcjach.

Nafciarz brnął przez gliniaste bajoro, które uformowało się dokładnie przed wąskim, metalowym stopniem prowadzącym do środka domku. Joni zawahała się, nie chcąc jeszcze bardziej ubrudzić swych spodni. Niestety, jedyny wybór jaki miała, to przejść przez to błoto lub próbować je przeskoczyć. Oceniając, że kałuża nie może mieć więcej niż metr długości, wysunęła lewą nogę i odbiwszy się na prawej, skoczyła. Udało się, lecz stopień był śliski jak oliwa i nie było nic, czego mogłaby się uchwycić. Nic prócz...

W tej właśnie chwili nafciarz wyciągnął pomocną dłoń. Joni chwyciła go mocno za przód koszuli. Jego protekcyjny uśmiech przeszedł w grymas bólu w momencie, gdy poczuł uścisk na zaroście klatki piersiowej.

– Niech mnie pani puści!

– Ależ upadnę!

Palce obejmujące jej ramię zacisnęły się, lecz dziki wygląd jego twarzy ostrzegł, że Joni posuwa się zbyt daleko. To samo mówił jego wściekły ton.

– Proszę mnie puścić...

Doskonale zrozumiała jego polecenie: albo to zrobi ona, albo on. Zwolniła uścisk i próbowała zebrać myśli, podczas gdy on, oswobodzoną ręką, rozcierał swą potężną pierś.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Kiedy nie krzyczał, jego głos był głęboki i nieco chrapliwy.

– Tak – usiłowała unikać jego oczu o kolorze kwietniowej zieleni. Czula się potwornie głupio. – Dziękuję – powiedziała.

Puścił jej ramię.

– A więc czego sobie pani życzy?

Zamrugła powiekami, zaskoczona jego otwartością.

– Chcę z panem porozmawiać.

– Cały zamieniam się w słuch – odrzekł, ale jego muskularne ciało mówiło, że jest jedynie mężczyzną.

Stopień znów wydał się tak wąskim, jakim był przed chwilą. Nerwowo sięgnęła po klamkę u drzwi, lecz ogorzałe, silne ręce podtrzymały ją. Skinęła głową z podziękowaniem i weszła przed nim do pomieszczenia, czując jakby wkraczała w paszczę lwa.

Joni przystanęła zaraz za progiem i rozejrzała się wokół z niedowierzaniem. Nigdy w życiu nie widziała takiego bałaganu. Kawalki czerwonej gliny były widoczne na całej długości linoleum, a część z nich zdążyła już wyschnąć. Puste butelki po piwie i przepelnione popielniczki zaśmiecały wnętrze. Olśniewającej urody dziewczyna, której jedynym odzieniem była opaska na głowę w stylu indiańskim oraz czarujący uśmiech, ozdabiała nieaktualny kalendarz ścienny. Błat biurka wyglądał dosyć schludnie, lecz światło słoneczne, które przebijało się przez zakurzone story, uwidaczniało kilka szczerb i głęboką dziurę po papierosie.

Nafciarz zamknął drzwi, tym samym izolując ich od

świdrującego hałasu. Następnie zdjął kask i zawiesił go na ściennym kołku. Przejeżdżając palcami po włosach tak czarnych jak ropa Oklahomy, skierował się ku małej lodówce w rogu pokoju i wyjął piwo.

– Piwo na śniadanie? – zapytała, przerywając ciszę.

Odwrócił się, mierząc ją surowym spojrzeniem.

– Ma pani coś lepszego do zaoferowania?

Joni niezbyt szybko zrozumiała sens słów, lecz gdy zostały do końca wypowiedziane, otworzyła usta z wściekłości. Ściągnęła kask z głowy, zamierzając powiedzieć, co o tym wszystkim myśli. W tym momencie metalowy daszek zaczepił o spinkę, którą miała we włosach, powodując jej odpięcie i upadek. Odwróciła się, by powiesić kask, gdy przez przypadek kopnęła spinkę, która wylądowała pod sofą. Fala włosów przykryła jej plecy. Zdała sobie sprawę, iż nie mogło się wydarzyć nic gorszego. Uklękała przy sofie i rozpoczęła poszukiwania.

– Proszę się pospieszyć. Tak się składa, że jestem zajęty.

– Mówiono mi – zamruczała żartobliwie w chwili, gdy sięgnęła trochę głębiej i wreszcie odkryła zgubę.

– To dobrze panią poinformowano – odparował, mimo iż właśnie spoglądał na czarujący tył, który mu zaprezentowała. Z zasady wolał kształty rubensowskie, lecz ten niewinny flircik, te piękne amerykańskie nogi w pełni mu rekompensowały brak ponętnych okrągłości.

Nagle, widząc obrączkę ślubną na jej palcu, odstawił na stół wciąż jeszcze pełną butelkę piwa i zajął się notatkami wiertniczymi. Nigdy zbyt długo nie trapiły go wyrzuty sumienia, ale zawsze był wierny jednej zasadzie – nigdy z mężatką.

– Niech pani posłucha – drażnił się z nią, z emfazą rzucając dokumentami o stół. – Mam dużo pracy i chciałbym się trochę przespać, zanim pójdę na służbę.

Przez ułamek sekundy Joni nosiła się z zamiarem powiedzenia mu, gdzie dokładnie może sobie pójść. Postanowiła również trochę się z nim podroczyć. Zmieniła jednak zamiar. Podniosła się, patrząc na niego przez blat biurka.

– Mam dla pana propozycję.

Zmierzył ją badawczo chłodnym spojrzeniem zimnych oczu. Ależ się do tego pali, a okazji z pewnością miała niemało, pomyślał.

– Handlową propozycję – wyjaśniła.

– Niech pani posłucha... – zaczął zniecierpliwiony.

– Nie – przerwała, wyciągając z kieszeni swojej koszuli prostokątną kartkę. – Proszę zobaczyć – podała mu ją do obejrzenia.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Przepis?

– Mapa – odrzekła, akceptując jego kpiący ton. Zaintrygowany przyjrzał się bliżej zblakłym liniom ołówka i stwierdził, że to rzeczywiście jest mapa.

– Narysowała ją moja babka ponad 50 lat temu – wyjaśniła Joni, kładąc kartkę na otwartym na stole raporcie wiertniczym.

– W porządku, poddaję się, lecz co to wszystko ma wspólnego ze mną? – puścił do niej perskie oko. Tak dokładnie, jak tylko potrafiła, Joni opowiedziała, jak to pewnego dnia dawno temu jego dziadek przyjechał na farmę jej dziadka.

Chance McCoy miał dziwne uczucie, że tę historię już kiedyś słyszał. Jego dziadek, po którym odziedziczył imię, dokładnie mu to zdarzenie opowiedział. Podobnie jak wszyscy starzy ludzie, którzy stykali się na co dzień ze śmiercią, ródźkarz bardzo lubił opowiadać.

Podczas wielu wieczorów powracał do przeszłości i wybierając niektóre ze swych wielu przygód, przyozdabiał je barwnymi detalami, wybranymi specjalnie dla audytorium składającego się tylko z jednego słuchacza. Czarne złoto tryskające olbrzymimi strumieniami z ziemi, hałas rozbrzmiewający w nocnej ciszy, szyby naftowe powstające na czerwonych pokładach ziemi Oklahomy – to wszystko widział młody Chance oczami swego dziadka.

I oto nagle bardzo szybko zmniejszające się ciśnienie gazu i spadające ceny ropy wielu doprowadziły do ruiny. Długi rosły w

niesamowitym tempie i wielki kryzys, który w rezultacie nastąpił, zamienił milionerów w żebraków, a z różdżkarzy uczynił pośmiewisko.

Te historyjki odpowiednio ubarwione, lecz w swej istocie prawdziwe, rozpały wyobraźnię chłopca. Wierząc, że losy świata powiązane są ściśle z zasobami źródeł energii oraz chcąc przywrócić dziadkowi dobre imię, zapisał się na Uniwersytet w Oklahomie, na którym uzyskał tytuł geologa. Na nieszczęście różdżkarz zmarł na dwa tygodnie przed uroczystością przyznania wnukowi tytułu naukowego. W akcie zgonu, jako przyczynę śmierci, podano marskość wątroby.

W dniu ukończenia studiów Chance potwornie się spił, a już nazajutrz zawarł umowę z niezależnym producentem naftowym. Jeżeli chciał zostać nafcjarzem, musiał poznać ten zawód od podszewki. Przez pewien czas podejmował każdą pracę, zaczynając od praktykanta, aż doszedł do stanowiska kierownika. Robotnicy zatrudnieni przy szybie niejednokrotnie dłużej niż Chance miał lat, odczuwali respekt dla jego tytułu naukowego, darząc go jednocześnie wielkim zaufaniem w sprawach dotyczących ropy. On ma „nosa” – mówili, a tego nie nauczysz się w szkole.

W okresie największego wydobycia ropy i gazu ziemnego, Chance zebrał kilku fachowców i założył własne przedsiębiorstwo. Od razu natrafił na złożę ropy i od tej pory rzadko zdarzało mu się wiercić na próżno. Koszty związane z wydobyciem ropy rosły niestety w niesamowitym tempie. Trzeba je było ponosić, nie mając jednocześnie żadnej gwarancji na osiągnięcie końcowego sukcesu.

Gdziekolwiek wiercił, od zagłębia Andarko aż do Gór Skalistych, myślał o swoim marzeniu, którego do tej pory nie zdołał zrealizować.

– Jak to się stało, że mnie pani odnalazła? – zapytał.

– Proszę mi wierzyć, to nie było proste – odparła Joni.

Podczas gdy wyjaśniała, jak to jeździła z jednego miejsca na drugie, wyciągając wiadomości od różnych osób, kręcił głową z

uznaniem.

– Niech pan sobie wyobrazi – powiedziała na zakończenie – że jedyna informacja, na której mogłam się oprzeć, to imię pańskiego dziadka oraz to, co mój dziadek zapamiętał.

– To faktycznie niewiele, jak na początek, wzięwszy pod uwagę, jak dużo czasu upłynęło.

Podziwiał spryt i upór Joni. Nawet jego nieregularny rozkład zajęć nie był w stanie powstrzymać jej od poszukiwań.

– Właśnie zamierzałam się poddać, gdy natrafiłam na pański trop.

– Co ma pani na myśli? – jego zielone oczy zatrzymały się na rękach Joni. Zastanawiał się nad tym jak ciężko musiała pracować, by doprowadzić je do tak złego stanu.

Nie zdając sobie sprawy, co takiego powiedziała, by zasłużyć na to krytyczne spojrzenie, zerknęła na swe zniszczone paznokcie oraz chude palce. W porządku – powinna zrobić manicure, ale czy musiał dać jej odczuć, że to zauważył?

Wreszcie Joni zdecydowała się przerwać irytującą ciszę.

– Po odrzuceniu naszego podania o pożyczkę na wiercenia, bankier powiedział, że kilka tygodni temu spotkał się z pewnym człowiekiem, który powtórzył mu dokładnie naszą historię. Nie muszę mówić, jak bardzo nas zaskoczył, gdy pokazał pańską wizytówkę. Wiadomość, że przeprowadza pan wiercenia właśnie tu, w Redemption, spowodowała że zdecydowałam się dotrzeć do pana za wszelką cenę.

– No i dotarła pani – Chance nie wierzył w przeznaczenie. Może właśnie dlatego, w ciągu ostatnich kilku lat poświęcił tak dużo wolnego czasu na poszukiwanie ludzi, którzy mogliby pamiętać jego dziadka z czasów młodości. Jeśli chciał wiercić tam, gdzie upadł jego dziadek, musiał zrobić dokładne rozeznanie.

Joni spojrzała na telefon stojący na biurku i zachmurzyła się.

– W ciągu ostatnich dwóch tygodni prawie codziennie wydzwaniałam na numer z pańskiej wizytówki. Niestety za każdym razem włączała się automatyczna sekretarka.

– Pracujemy bez przerwy od czasu wywiercenia II szybu. –

Rozpoznał jej matowy, nosowy głos nagrany na kasetę. Miał zamiar zadzwonić do niej, kiedy tylko znajdzie chwilę wolnego czasu.

– Tego ranka, wsiadając do ciężarówki, powiedziałam dziadkowi, że dotrę do pana dzisiaj albo nigdy – jej upstrzony piegami nos zabawnie się poruszył, gdy uśmiechnęła się z triumfem.

Chance zmarszczył brwi, przypominając sobie coś, o czym wcześniej wspomniała.

– Czy może mi pani powiedzieć, dlaczego starała się pani o kredyt bankowy na wiercenia?

– Ażeby zapłacić za narzędzia i... – ugryzła się w język, zastanawiając się, czy mówić dalej. W końcu poprzestała na tym wyjaśnieniu.

– Ale to przecież wiertacz dokonuje zakupu narzędzi.

– Tak właśnie powiedział Jesse James.

Wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– Jesse James?

– To jedno z najsympatyczniejszych przezwisk, jakich dziadek używa mówiąc o bankierach. Poczula się niezwykle szczęśliwa, gdy odwzajemnił jej uśmiech.

– No i cóż jeszcze ten słynny rabuś powiedział?

Słowna gra, którą zabawiał się Chance, przypomniała jej, że czas przejść do sedna sprawy.

– Że zapłaci nam pan rentę należną właścicielowi ziemi w zamian za prawa do dokonywania wierceń.

Joni zorientowała się, że jeżeli nie przestanie bawić się spinką, to ją popsuje.

– Trzy dolary za akr – zdecydował.

Straciła humor, gdy pomnożyła w pamięci sto sześćdziesiąt przez trzy.

– Ależ to tylko czterysta osiemdziesiąt dolarów!

– Macie państwo również zapewniony udział w zyskach, jeżeli szyb będzie produktywny – zaznaczył.

– A ile ten udział jest wart?

– Jedną ósmą...

– To znaczy...

– Interesowni jesteśmy, prawda? – to ironiczne stwierdzenie zraniło jej dumę.

– Przebyłam tę całą drogę nie po to, aby pan ze mnie kpił, panie McCoy. – Sięgnęła po mapę. Jeżeli nie będzie mnie pan traktował poważnie, to zwrócę się z tą sprawą do kogoś innego.

– Jestem o tym przekonany – z szybkością błyskawicy złapał ją za rękę, zanim zdążyła sięgnąć po mapę. Miała nad nim przewagę i umiejętnie to wykorzystywała.

– A więc czego się pani po mnie spodziewa?

– Nazywam się Fletcher – stwierdziła z godnością – i żądam dwudziestu tysięcy dolarów z tytułu prawa własności ziemi.

– Dwadzieścia tysięcy dolarów? – zapytał z niedowierzaniem.

Próbowała oswobodzić się z jego uścisku, jednak bez rezultatu.

– Chcę również połowy zysku z eksploatacji naszego szybu.

– Naszego szybu, pani Fletcher? – z ironią zawołał McCoy.

Postanowiła się szybko zrewanżować.

– Jak mi się wydaje, panie McCoy, moja mapa i pańskie pieniądze stwarzają taką właśnie sytuację.

Zdał sobie sprawę, że pokonała go jego własną bronią. Z wściekłością uwolnił jej ramię.

– Cóż, do cholery, myśli pani, że jestem instytucją charytatywną!

Z obawy, że posunęła się za daleko, postanowiła się wycofać.

– Wiem, że to, o co proszę, to bardzo wiele, ale z podupadającą farmą i wielką ilością rachunków do pokrycia za leczenie dziadka...

Przesunął wzrokiem po jej lewej dłoni, podczas gdy ona urwała w połowie zdania.

– A co z pani mężem, nie stać go na utrzymanie rodziny?

Nigdy nie przypuszczała, że uwaga ta może ją tak zdenerwować. Z trudem się opanowała.

– Mój mąż nie żyje.

2.

Dopiero po pewnej chwili Chance zareagował.

– Co takiego?

– Mój mąż nie żyje – powtórzyła, oczekując utartego zwrotu: „Tak mi przykro”.

Zamiast tego powiedział:

– Wprowadziła mnie pani w błąd. Uwierzyłem, że jest pani mężatką. Wdowy noszą obrączkę na prawej dłoni, pani Fletcher.

Wytarła pospiesznie łzy, które nagle napłynęły jej do oczu.

– Nie potrzebuję od pana pouczeń, panie McCoy, potrzebuję dwudziestu tysięcy dolarów.

– Kolejny farmer umierający z głodu – zauważył złośliwie.

– Jest pan wyjątkowo cynicznym draniem – zasyczała z nienawiścią.

– Proszę, niech się pani nie krępuje – ironiczny uśmiech pojawił się na jego twarzy.

– Może wydobyć pan ropę z ziemi – odparła sarkastycznie – lecz nie z...

– Nie musi mi pani tego tłumaczyć. Rozumiem doskonale – przerwał szorstko.

Jednak pierwsze lody zostały przełamane. Zaczęli spoglądać na siebie bez zaciętrzewienia, starając się zrozumieć racje strony przeciwnej.

Prawdę mówiąc, wszystko w nieznanym było ekscytujące. Piegi nadawały jej skórze aksamitny wygląd, podczas gdy wydatne usta świadczyły o dużym temperamencie. Chance

zauważył koszulę, która okrywała jej szczupłą figurę i pomyślał, iż być może należała kiedyś do jej byłego męża. W każdym razie wyglądała cholernie sexy w tym męskim ubraniu. Jednak to, co najbardziej intrygowało go w tej kobiecie, to ta niesamowita kolorystyka. Z włosami czerwonymi jak płomień i ognistymi błękitnymi oczami, przypominała mu dzikie, oczekujące na poskromienie zwierzę. Każdy, choć trochę zorientowany w tej grze wiedział, że jest to jednak wyzwanie, któremu nikt nie jest się w stanie oprzeć.

Joni czuła silne uderzenia wiertła szybu, które wprawiały podłogę w niesamowite drgania, podczas gdy ona poddawała Chance'a dokładnej lustracji. Tak właśnie wyobrażała sobie rasowego nafcjarza szorstki, gotowy do ponoszenia ryzyka, przestrzegający własnych reguł gry. Idealnie dopasowana koszula podkreślała sprężyste, o silnej muskulaturze ciało. Długie lata pracy w słońcu Oklahomy nadały jego skórze zdrowy odcień opalenizny. Pomimo zmierzwionych czarnych włosów i dwudniowego zarostu, który pokrywał jego twarz, nie mogła nie zauważyć sieci drobnutkich zmarszczek wokół ożywionych, zielonych oczu, świadczących o tym, jak często się śmiał i jak dobrze się czuł w atmosferze niepewności i ryzyka. Z przyjemnością patrzyła na piękny rysunek ust, tak bardzo prowokujący do pocałunku.

Z poczuciem winy spojrzała na obrączkę ślubną, przypominając sobie pannę młodą i chłopca, którzy w piękny dzień czerwcowy ślubowali miłość, wierność i oddanie – „dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Próbowała przypomnieć sobie twarz Larry'ego, lecz pamięć przywołała jedynie przyćmione światło stodoły i parę zdartych roboczych butów.

– W jaki sposób zmarł?

Joni podniosła głowę w zamyśleniu, wciąż – po trzech latach – słysząc tamte krzyki.

– Słucham?

– Pani mąż – Chance miał dziwne uczucie, że ten fakt odegrał w życiu Joni wielką rolę – jak zmarł?

– Jakie to ma znaczenie? – z trudnością przełknęła ślinę, starając się zapomnieć te wszystkie nocne zmyry, które ją prześladowały. – Larry odszedł i pan jest moją ostatnią nadzieją.

Chance miał właśnie zamiar powiedzieć, żeby zbyt na niego nie liczyła, i bez tego nie brak mu kłopotów. Zanim jednak wypowiedział pierwsze słowa, drzwi otworzyły się, wpuszczając do środka cały hałas z zewnątrz i wymazanego ropą Texa.

– Dobre wiadomości, szefie. Znaleźliśmy ropę.

Chance podziękował Texowi i wziął do ręki notatki wiertnicze.

– Weźcie próbkę i dokonajcie wstępnych badań – polecił.

– W porządku – odpowiedział Tex.

Joni poczuła nagłe napięcie w powietrzu, jak gdyby jakaś tajemna siła zelektryzowała wszystko dookoła.

Wydawało się, że od momentu, gdy stała się częścią czegoś fascynującego minęła wieczność i dałaby wiele, aby zobaczyć, co się następnie wydarzy. Obawiając się jednak, że będzie tylko przeszkadzać, sięgnęła po mapę, która leżała na stole.

– Niech pani zostawi – cichy rozkaz powstrzymał ją. Cofnęła rękę i z zaciekawieniem spojrzała na Chance'a.

Przekazał raport Texowi.

– Pani Fletcher i ja mamy jeszcze coś do załatwienia, a więc idź beze mnie, wiesz, co masz robić.

Uśmiech rozjaśnił szerniąłą twarz mężczyzny, gdy uczynił ruch, aby zamknąć za sobą drzwi.

– Nie obawiaj się, wszystko będzie w porządku – odparł.

Gdy wyszedł, Chance wziął kartkę i podszedł z nią do okna. Studiując uważnie jej treść w cytrynowym świetle, sączącym się przez zaciągnięte story, próbował wszystko raz jeszcze ułożyć. Papier, który trzymał w ręku, mógł być tylko jeszcze jednym złotym mirażem, za którym gonił, mógł również oznaczać szansę na zrealizowanie marzenia całego życia. W żadnym wypadku nie należało jednak działać pochopnie.

Do tej pory Joni była zbyt zaaferowana toczącymi się wypadkami, aby móc dokładnie przyjrzeć się człowiekowi, którego tak uparcie wszędzie szukała. Miał fryzurę nieco dłuższą

niż przewidywała to obowiązująca moda, tak jakby zupełnie nie przywiązywał do tego wagi. Jednak czarne, lśniące pasma włosów podobały się Joni do tego stopnia, iż całą siłą woli musiała się powstrzymać, aby nie wyciągnąć ręki i nie dotknąć ich. Miała przed sobą szczupłą sylwetkę mężczyzny – jakby wyrzeźbionego przez niespokojny wiatr, jednakże jej pole widzenia było ograniczone do wspaniałych, masywnych pleców. Skwar przykleił koszulę do jego umięśnionego ciała, podkreślając potężne ramiona zwiężające się do wspaniałej talii i napiętych pośladków.

Chance nagle przekręcił kartkę i przeczytał treść notatki z drugiej strony.

– Zrobiła ją pani kiedyś? – zapytał, odwracając się do Joni.

– Czy... co zrobiłam?

– Szarlotkę.

– Ach, nie – pospieszyła z wyjaśnieniem. – Wyjęłam tę kartkę z kieszeni fartucha mojej babki zaledwie kilka miesięcy temu. Widzi pan, tego dnia ona umarła, wydając na świat mojego tatę i dziadek trzymał wszystkie jej rzeczy w cedrowej skrzyni na poddaszu. Nawet nie wiedziałam o jej istnieniu do czasu, gdy dziadek posłał mnie po nią na górę.

Uśmiechnęła się patrząc na małą kartkę w jego dużych dłoniach.

– Chciałam kiedyś upiec tę szarlotkę, ale opiekując się dziadkiem, pielęgnując pomidory i próbując pana odnaleźć, jak dotąd nie miałam na to czasu.

Chance objął wzrokiem jej ubranie i ciężko spracowane ręce, zastanawiając się, kiedy ona właściwie znajduje czas dla samej siebie.

Joni poczuła się nieswojo. Błękitna koszula kiedyś należała do Larry'ego. Trzeba było wiele pracy, ażeby dopasować ją do jej własnej figury. Jeansy były sztywne od pokrywającego je błota, natomiast buty, no cóż, najlepsze dni miały już dawno za sobą.

Cisza przedłużała się i Joni zaczęła nerwowo obracać obrączkę wokół palca, co z niewiadomego powodu bardzo Chance'a

zirytowało.

– Niech mi pani powie – zapytał nieoczekiwanie – na jaką kwotę ubezpieczony był pani mąż?

Jej twarz stała się kredowobiała.

– Co to ma wspólnego z naszym szybem?

– Poprosiła mnie pani o dwadzieścia tysięcy dolarów, nieprawdaż? – zdawał sobie sprawę, jak bardzo niestosowne było jego pytanie. Musiał je jednak zadać. – Chcę się upewnić, że nie wyrzucę pieniędzy w błoto, jeżeli zdecyduję się wiercić na pani ziemi.

– Jeżeli nie ma pan do mnie zaufania, panie McCoy...

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie, pani Fletcher.

– I nie zamierzam – rozprostowała szczupłe ramiona i zdecydowanie wyciągnęła rękę. – A więc, jeżeli odda mi pan moją kartkę, zejdę panu z oczu.

Chance spojrział na nią. Co za kobieta! – pomyślał.

– Nie lubi mnie pani, prawda?

Joni zarumieniła się.

– Powiedzmy, że niewiele mamy ze sobą wspólnego i niech już tak zostanie.

– Myślę, że pani się myli – stwierdził lakonicznie.

– Nie sędzę – odpowiedziała, nerwowo wykręcając palce.

Chance mocno trzymał kartkę w ręku.

– Czyż nie zdaje sobie pani sprawy z tego, że przemysł naftowy dopiero co wychodzi z największego, od czasu kryzysu, załamania finansowego?

Joni trzymała nerwy na wodzy.

– A czy pan zdaje sobie sprawę z tego, że podczas gdy kilka lat temu cena ropy dochodziła do trzydziesta dolarów za baryłkę, cena zboża spadła do półtora dolara za buszel?

– Są zapomogi pieniężne.

– Są również ulgi podatkowe.

Spróbował innej taktyki.

– Głównym powodem tego, że dziś liczę się w biznesie, były wystarczające dochody z moich szybów, aby wyciągnąć się z

tarapatów.

– No cóż, głównym powodem rezygnacji przez nas z uprawy zboża w ubiegłym roku była strata w wysokości pięćdziesięciu dolarów na każdym akrze – odcięła się Joni.

Ich oczy spotkały się, podczas gdy pojedynek słowny nasilał się. Chance zaczął dostrzegać w Joni to, czego wcześniej nie zauważył. Jej nos miał arystokratyczny profil, lecz lekko kanciasta szczeka z powodzeniem należeć mogła do zdobywcy Dzikiego Zachodu. Jej bardzo zaniedbane ręce były tak wątle i chude, jak u ascety, ale w tym niepozornym ciele krył się jednak wielki duch. Chance widział z jaką determinacją Joni walczy o ocalenie farmy. Postanowił ogłosić rozejm.

– Proszę pani, zapomnijmy o tych dwudziestu tysiącach dolarów, dopóki nie przeprowadzę testów.

Opuściła rękę, lecz na jej policzkach widoczne było podniecenie.

– Jakie testy?

– Na początek próbki skał i gleby.

– Ile potrzebuje pan na to czasu?

– Jakiś tydzień – wyprostował masywne ramiona, powodując ruch mięśni pod koszulą – najwyżej dwa.

– To faktycznie niewiele – nie chciała, aby zabrzmiało to zbyt ponaglająco, ale tak mało miała czasu. – Termin naszych płatności bankowych upływa za trzy tygodnie.

Chance zerknął znowu na mapę, a następnie na nią.

– Co pani robi jutro?

Z dezaprobatą zmarszczyła brwi.

– Zabieram dziadka do lekarza.

– A w niedzielę? – do diabła, ma bardzo sexy usta: szerokie i pięknie wykrojone, o dolnej wardze świadczącej o dużych umiejętnościach w całowaniu.

Przekorny uśmiech rozjaśnił jej twarz.

– Piekę szarlotkę.

– To wspaniale – rozchylił usta, pokazując rząd silnych, białych zębów. Oboje się roześmieli. Ogłuszający świst, po

którym nastąpiła cała seria dosadnych przekleństw, uświadomił mu, że jest potrzebny przy szybie. Zwrócił kartkę i sięgnął po kask. – Nie ma odpoczynku na tym ziemskim padole.

Wyciągnęła rękę, lecz przypominając sobie o połamanych paznokciach i popękanej skórze, natychmiast ją cofnęła.

– Do zobaczenia w niedzielę.

Pełna butelka piwa stała na stole zapomniana, gdy odprowadzał wzrokiem Joni do drzwi. Ileż to czasu minęło, kiedy ostatni raz kobieta tak zawładnęła jego wyobraźnią, zyskując jednocześnie szacunek.

– A propos, pani Fletcher...

Joni odwróciła się. Chance z przyjemnością patrzył na jej ponętne ciało, ukryte pod męską koszulą. Odkrył błyski sympatii w jej oczach.

– Pan coś mówił, panie McCoy?

Włożył kask zawadiacko, na bakier, i obdarzył Joni szelmowskim uśmiechem.

– Proszę mi przypomnieć, żebym pani udowodnił, jak naprawdę wiele nas łączy.

3.

– Dzień dobry.

– Witam pana.

Chance zdjął słoneczne okulary i przechodząc przez ganek, włożył je do kieszeni marynarki.

– Właśnie w tej chwili uświadomiłem sobie, że prawdopodobnie przeszkadzam pani w obiedzie.

Zegar wiszący przy wejściu wybił południe, gdy Joni otworzyła drzwi.

– Prawdę mówiąc, postanowiliśmy dzisiaj nieco przesunąć obiad, sądząc że może zechce pan zjeść z nami.

Zwolnił kroku.

– Mam nadzieję, że nie robi sobie pani specjalnego kłopotu z mojego powodu?

Wzruszyła ramionami.

– I to mówi człowiek, który zmusił mnie do upieczenia szarlotki?

– Co by pani powiedziała, żebyśmy zrezygnowali z obiadu i przeszli od razu do deseru? – w jego głosie nie słyhać było skruchy.

Śmiejąc się, wpuściła go do środka.

– Proszę wejść. Zaprowadzę pana do dziadka.

– Będzie mi bardzo miło – skłonił głowę. Stała tyłem do drzwi, gdy ją mijał. Czuł, że jest mu na przemian zimno i gorąco z podniecenia. W tym samym momencie w głowie Joni odezwały się jakieś dziwne dzwonki alarmowe.

W jedwabnej marynarce, białosiwej koszuli polo i jeansach był nie mniej niebezpieczny, niż gdyby przystąpił do ataku z szablą w jednym ręku i ze strzelbą gotową do oddania strzału w drugim.

Chance'owi z kolei było trudno pogodzić obraz kobiety w delikatnej, błękitnej sukni z wizją tamtej, która niedawno odwiedziła go w pracy. Jej niesforne włosy upięte teraz były w kok, co jeszcze bardziej uwidocznilo piegi, a oczy wydawały się jeszcze większe niż poprzednio. Duży dekolot mocno dopasowanej góry sukienki, składał hołd wspaniałej wysmukłej szyi, podczas gdy obszerna spódnica delikatnie muskała jej cudowne nogi. Polakierowane na różowo paznokcie u nóg w białych, rzemykowych sandałkach, kontrastowały z zaniedbanymi rękami.

Joni zauważyła, że Chance patrzy na jej obrączkę. Bezmyślnie przesuwając ją dookoła palca powiedziała:

– Dziadek czeka na nas w salonie, panie McCoy.

Chance był pewien, że Joni coś przed nim ukrywa, lecz postanowił na razie o tym nie myśleć.

– Pani pozwoli, pani Fletcher – powiedział, puszczając ją przodem.

Odpadający ze ścian domu tynk świadczył o kłopotach finansowych jego właścicielki, jednak wewnątrz sprawiało wrażenie względnego dostatku. Światło słoneczne wlewało się przez dwa okna do salonu. Pomiędzy oknami, za wiśniową sofą, pochodzącą zapewne z czasów wojny secesyjnej, zawieszona była oryginalna makatka. Sosnowy parkiet przydawał temu wnętrzu dodatkowego uroku. Wentylator, umieszczony na suficie, latem był źródłem przyjemnego, chłodnego wiatru. Kamienny kominek dostarczał ciepła zimą.

Stary człowiek w roboczym kombinezonie i wypłowiałej flanelowej koszuli, chcąc wstać, oparł ręce na poręczach wygodnie wymoszczonego bujanego fotela, który w latach trzydziestych był symbolem największego komfortu.

– Proszę nie wstawać – powiedział Chance, wchodząc do pokoju.

Pomimo przyspieszonego, chrapliwego oddechu, stary człowiek nie rezygnował z wysiłku.

– Dzień, w którym nie będę mógł wstać, aby powitać gościa w moim własnym domu, będzie zapewne ostatnim dniem w moim życiu.

Chance uśmiechnął się i wyciągnął rękę, czując natychmiast sympatię do starego człowieka.

– Pan musi być dziadkiem...

– Raczej tym, co z niego zostało – potwierdził staruszek, wyciągając kościstą dłoń.

Po dokonaniu prezentacji, Joni przeprosiła gościa i poszła do kuchni przygotować mrożoną herbatę. Steki wieprzowe, które zamierzała podać na obiad, odmrażały się na ladzie, a szarlotka, którą upiekła tego ranka, stygła na metalowej siatce.

Umieszczając szklanki, łyżeczki i cukiernicę na japońskiej tacy, ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, iż nuci melodię, którą wcześniej usłyszała w radiu.

Z bijącym sercem zatrzymała się w drzwiach salonu, gdy zobaczyła, jak ci dwaj mężczyźni pochłonięci są rozmową.

Większość przyjaciół dziadka albo już umarła, albo była u kresu życia. Z wyjątkiem cotygodniowej wizyty u doktora Rayburna, dziadek rzadko wychodził z domu.

Nawet jeżeli Chance McCoy zrezygnuje z wiercenia na ich ziemi, to ożywienie i uśmiech na twarzy dziadka będą wystarczającą nagrodą za wysiłek w doprowadzeniu do tego spotkania.

Chance podniósł wzrok, gdy Joni weszła do salonu, następnie wstał z fotela i sięgnął po tacę.

– Pani pozwoli, że pomogę.

Stała bez tchu, czerwiąc się pod jego spojrzeniem, jak pensjonarka, zakłopotana tą niezręczną sytuacją.

Odwrócił się, aby postawić tacę na marmurowym blacie stołu. Chance podał jej szklankę i wtedy ich ręce się spotkały.

Poczuła przenikające przez ramiona ciepło i coraz trudniej przychodziło jej panowanie nad emocjami, które w każdej chwili

mogły ją zdradzić.

– Chance właśnie opowiadał, że pasjonuje go remontowanie zabytkowych samochodów – dziadek wziął do ust mały łyk herbaty, całkowicie świadomy rosnącego pomiędzy tym dwojgiem napięcia. Wspomniałem mu, jak to trzymałem mojego małego forda sądząc, że Larry będzie chciał się nim zająć. Ale on, niestety, nie był entuzjastą samochodów.

Na dźwięk imienia byłego męża Joni poczuła, że jeśli natychmiast nie usiądzie, to z pewnością upadnie. Siadając na brzegu sofy wypowiedziała pierwszą myśl, która jej przyszła do głowy.

– To bardzo kosztowne hobby, nieprawdaż?

– Zależy, co pani uważa za kosztowne. – Chance ponownie zajął swoje miejsce i założył nogę na nogę, pokazując idealnie wypolerowane obuwie.

– Jak pan myśli, ile może być dzisiaj wart taki fordzik? – zapytał dziadek.

– Z pewnością znacznie więcej, niż pan za niego kiedyś zapłacił – powiedział Chance, śmiejąc się serdecznie.

Joni ze zdumieniem spojrzała na dziadka.

– Chyba nie zamierzasz go sprzedać?

Wzruszył kościstymi ramionami.

– A co mi z tego, że ta maszyna stoi w szopie i rdzewieje?

Chance pokiwał głową.

– Będę niezmiernie rad, jeżeli pozwoli mi pan spojrzeć na to чудо i ocenić jego wartość.

– Czy właśnie w taki sposób nabywa pan zabytkowe samochody, panie McCoy? – spojrzenie Joni było wyjątkowo prowokacyjne.

Obrzucił ją badawczym spojrzeniem sprawiając, że poczuła, iż musi się bronić, chociaż właściwie nie miała do tego żadnego powodu.

– Jeżeli czegoś naprawdę chcę, pani Fletcher, to cena nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

– Pieniądze nie zawsze dają szczęście – odpowiedziała

uszczypliwie.

– A ja ich nigdy nie miałem – szepnął dziadek. Twarz Chance’a była poważna, a oczy niespokojne, gdy wzniosł szklankę w wymuszonym toaście.

– Piję za to, ażeby pieniądze przyniosły mi szczęście.

Joni nawet się nie uśmiechnęła.

– Wreszcie doszliśmy do głównego celu naszego spotkania.

Chance wyjaśnił, jakie kryteria decydują o wyborze miejsca na dokonanie pierwszych wierceń. Powiedział również o zamiarze przesłania do analizy próbek skał i gleby. Jednak o swoim marzeniu – odzyskania dobrego imienia dziadka – nie wspomniał ani słowem. To była tylko jego sprawa.

– Macie państwo jakieś pytania? – zapytał kilka minut później.

Dziadek odchrząknął.

– Napije się pan jeszcze herbatki?

– Z przyjemnością – odpowiedział Chance. Joni opuściła salon mając głowę pełną planów, jak spożytkuje pieniądze, które uzyska z eksploatacji szybu.

Kiedy ponownie stanęła w drzwiach salonu, serce podeszło jej do gardła na widok Chance’a troskliwie pochylonego nad rzężącym dziadkiem.

– Co się stało? – zapytała z niepokojem.

– To atak astmy.

– Zaraz przyniosę jego lekarstwo. – W poczuciu winy wybiegła do łazienki.

– Powinam była wiedzieć, że to dla niego za dużo, jak na jeden dzień – powiedziała, gdy upewniła się, że połknął lekarstwo, a oddech powrócił już do normy.

– Trochę wrażeń nikomu nie zaszkodzi.

– Ten atak mógł go zabić.

– A więc umarłby szczęśliwy.

Nie wypadało się kłócić. Wizyta nafcjarza była tym lekarstwem, którego dziadek od dawna najbardziej potrzebował. Jeśli zaś chodzi o nią... Przywykła nie myśleć o sobie, tak jak to czyniła przez cztery lata trwania małżeństwa.

– Dobrze by było, gdyby trochę odpoczął przed obiadem.

– Chyba tak. – Chance podniósł starca z łatwością człowieka przyzwyczajonego do pracy fizycznej i niosąc go ostrożnie na rękach – wszedł do jadalni.

– Przeniosłam tutaj kanapę, tak aby dziadek nie musiał chodzić po schodach – wyjaśniła zamykając okiennice i zdejmując prześcieradło, które pachniało powietrzem i słońcem.

Chance delikatnie położył starca na łóżku, obejmując go serdecznym spojrzeniem.

Olbrzymi mahoniowy stół stał pod ścianą, ustępując miejsca sofie, podczas gdy gustownie dobrane windsorskie krzesła stały niezmiennie wciąż w tym samym miejscu.

– Chyba nie chce mi pani wmówić, że przesunęła to pani sama? – zapytał z niedowierzaniem.

– Chyba nie chce mi pan wmówić, że jest pan zwolennikiem teorii o słabej płci? – zauważyła złośliwie.

– Proszę pozwolić mi pozostać przy tej teorii – powiedział z niewinnym uśmiechem na ustach, gdy schyliła się, aby ucałować policzek dziadka. – Nie spotkałem jeszcze w swym życiu kobiety na tyle silnej, aby potrafiła zmusić prawdziwego mężczyznę do uległości.

Joni poczuła, jak żar jego spojrzenia z wolna przenika jej ciało. Wyprostowała się i odwracając zauważyła, jak na nią patrzył.

– Obiad będzie gotowy za godzinę, panie McCoy.

Gdy wyprowadzała go z zaciemnionej jadalni do skąpanego w słońcu salonu zauważył, że nie włożyła pod suknię halki. Nie zdawała sobie z tego sprawy, a on nie miał jej zamiaru o tym powiedzieć. Gdy przechodziła w pobliżu okna, jej spódnica, w promieniach słońca, stała się zupełnie przezroczysta.

– Chciałbym z panią porozmawiać, pani Fletcher.

Zanim zamknęła drzwi, dzielące obydwie pokoje, upewniła się, czy dziadkowi niczego nie trzeba.

– O czym?

Wskazał w kierunku ganku.

– Może wyjdziemy?

W chwili, gdy Joni otwierała drzwi, figlarny wiatr uniósł jej suknię, ukazując kolana. Chance zerknął na uda, które wydały mu się tak delikatne, jak whisky z Tennessee. Wiedział, że ma wspaniałe nogi, ale nie sądził, że aż do tego stopnia.

– Czy nie ma pan nic lepszego do roboty, tylko tak stać i gapić się na mnie? – powiedziała z rozdrażnieniem w głosie, walcząc z wirującą sukienką.

Chance wolnym ruchem oparł się o balustradę ganku, tak jakby czas nie miał dla niego żadnego znaczenia i skrzyżował ramiona na piersiach.

– Nie mam.

– Powiedział pan, że chce ze mną porozmawiać – przypomniała mu oschle.

Milcząc prześlizgiwał się wzrokiem po jej sylwetce, chłonąc jednocześnie wszystko, co było z nią związane.

– Od jak dawna pani dziadek ma kłopoty z płucami?

Wiatr w tym momencie ucichł. Joni przestała w końcu walczyć z sukienką, szukając schronienia na dębowej huśtawce, którą dziadek zamontował na ganku za czasów swej młodości.

– Skąd pan o tym wie?

Chance wzruszył ramionami.

– Wykopałem studnie kilku farmerom i prawie połowa z nich miała podobne objawy jak pani dziadek.

– Pamiętam rok, w którym potworny czarny pył pokrył nasze zboże. Wtedy właśnie wszystko się zaczęło. Mieliśmy wówczas wspaniałą urodzaj, ale ten niesamowity pył wszystko zniszczył... – na tamto wspomnienie załamał się jej głos. – Wykonywałam wszystkie prace domowe, podczas gdy dziadek i Larry pracowali dzień i noc, próbując jak najwięcej ocalić. Ponieważ nasz kombajn nie ma krytej kabiny, wracali z pola oblepieni tym kurzem po uszy.

– Czy Larry zmarł na farmerską chorobę płuc?

– Nie – odpowiedziała zdawkowo, nie zamierzając nic więcej dodać.

Chance zawahał się wiedząc, że następne pytanie otworzy

przysłowiową puszkę Pandory. Jeżeli jednak ma zdecydować się na podjęcie wierceń, musi zebrać odpowiednie informacje, zanim podpisze umowę.

– Czyje imię figuruje na akcie własności farmy?

– Dziadka i moje, jako współużytkowników – Joni odepchnęła się od ziemi i wprawiając w ruch huśtawkę, ukryła ręce w fałdach sukni. – Wygląda pan na zaskoczonego.

– Raczej na zaintrygowanego.

Joni zauważyła malutki fragment zarostu, który przez nieuwagę pozostawił przy rannym goleniu.

– Czym?

Ściągnął brwi.

– Zastanawiam się, dlaczego nie przepisała pani farmy na siebie, a dziadkowi nie zapewniła stałej opieki lekarskiej.

– Farmerzy chcą być aktywni, nie potrzebują miłosierdzia.

– Proszę się nie denerwować, pani Fletcher. Wygląda na to, że jakieś dziwne skrupuły przeszkadzają pani w sensownym załatwieniu tej sprawy.

Podniosła wymownie głowę.

– Jak mam to rozumieć?

Patrząc z góry na jej piegowatą twarz, widząc delikatne, fioletowe cienie znużenia pod błękitnymi oczami, trudno było mu zdecydować się na tę okrutną szczerłość.

– Powinna pani oddać dziadka do domu opieki i spowodować, ażeby to miejsce znowu zaczęło przynosić dochody.

Joni rozchyliła usta, czując się tak, jak gdyby ktoś wbił jej nóż między żebra. Przez chwilę milczała, jedynie patrzyła na niego. Kiedy wreszcie odzyskała głos, wyrażał on pełną pogardę dla Chance'a.

– I pan mnie nazwał wyrachowaną! – zatrzymała huśtawkę i skoczyła na równe nogi, rzucając się na niego z dzikością wiosennego cyklonu. – No więc, posłuchaj pan, ty... ty świński ciułaczu! Dziadek tutaj się urodził i tutaj umrze. – Stojąc teraz na wprost nacierza, dźgała palcem jego pierś, niewzruszoną niczym skała Gibraltaru. – To jest jego dom i tak długo, jak ja żyję nikt

mu go nie odbierze ani go stąd nie usunie.

Joni z wściekłością okładała Chance'a pięściami, jednocześnie obrzucając go stekiem przekleństw. Kiedy się wreszcie wyładowała, wziął ją w ramiona. Próbowwała się opierać. Podniosła ręce, chcąc go odepchnąć. Potrzeba czułości była jednak silniejsza. Przywarła do niego mocno, starając się nie myśleć o przyszłości: Był przy niej i tylko to się liczyło. Chance trzymał ją w ramionach, spodziewając się całego potoku łez. Oczy Joni były jednak zupełnie suche. Na jej twarzy widać było tylko silne zmieszanie, spowodowane nieoczekiwanym przebiegiem wypadków.

– Przepraszam – szybkim ruchem oswoodziła się z jego uścisku. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło, aby najpierw obrzucać pana wyzwiskami, a następnie rzucić się panu w ramiona.

– Nic się nie stało – powiedział, mając jednocześnie świadomość, iż jeszcze nigdy nie trzymał w ramionach istoty tak bardzo kobiecej, jak ona.

Zaskoczona jego obojętnym tonem, głęboko odetchnęła.

– Czy jest jeszcze coś, o czym chciałby pan ze mną porozmawiać, panie McCoy?

– Chance.

– Słucham?

Zauważył jej wystające, pod obcisłą sukienką, łopatki.

– Mam na imię Chance.

Wiatr znowu się zerwał. Joni przytrzymała spódnicę rękami, które nagle stały się wilgotne.

– A więc?

– A więc, chciałbym usłyszeć, jak to wymawiasz.

– Dlaczego?

– No, Joni, nie daj się prosić.

Jej imię w jego ustach. Poczowała, jak krew uderza jej do głowy, gdy dotknął jej ramienia i odwrócił do siebie twarzą.

– Powiedz tylko – Chance.

Wiedziała, że gdy poda temu mężczyźnie palec, on natychmiast sięgnie po całą rękę. Jednak skapitulowała.

– Chance.

– Bardzo dobrze. – Uśmiech rozjaśnił jego twarz. Sięgnął do kieszeni marynarki po szkiełko tak ważne dla realizacji ich wspólnego marzenia. – Teraz, gdy już jesteśmy „na ty”, możesz powiedzieć: Powodzenia Chance, a ja powiem: Dziękuję Joni i...

– Panie McCoy...

– Chance.

– Chance – powtórzyła łagodnie.

– Jeszcze raz – nalegał.

Pochyliła głowę, gdy dreszcze wstrząsnęły jej ciałem. Chance zdecydowanym ruchem ręki unióśł jej głowę do góry zmuszając, aby na niego spojrzała.

Ich oczy spotkały się jak magnesy o przeciwnych biegunach.

– Powodzenia Chance.

– Dziękuję Joni. – Chance opuścił dłoń, jak na razie usatysfakcjonowany. – Będę za godzinę, może wcześniej.

Joni skinęła głową, ale wciąż jeszcze nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, jakiego doznała pod wpływem jego dotyku.

– Obiad będzie czekał.

Chance stał nieruchomo w polu kukurydzy z nosem w kierunku wiatru. Do diabła, zupełnie nie mógł się skoncentrować. Myślami był wciąż przy Joni i tej nieszczęsnej obrączce na jej palcu. Zazwyczaj to, co robił w tej chwili, stanowiło najprostszą część jego pracy. Dzisiaj siarczany zapach, zdawało się, wypełniał jego nozdrza, ale już za chwilę zupełnie zanikał. Jak, do cholery, miał wyczuć obecność ropy, gdy jego zmysły wciąż odurzone były zapachem kobiety.

Joni. Straciła męża, jej farma z dnia na dzień podupadała, a dziadek... na niego zupełnie nie może liczyć. Jednak, pomimo tych wszystkich przeciwności, nie załamuje się, lecz stara się znaleźć wyjście z sytuacji.

Nagle wydało mu się, że w powietrzu poczuł zdecydowany zapach siarki. Zmieniając pozycję, przesunął do tyłu obie poły jedwabnej marynarki i stał tak, z rękami na biodrach, stopami

szeroko rozstawionymi, z twarzą zwróconą w kierunku bezkresnego nieba.

Co za idiotyczna sytuacja. Mając trzydzieści pięć lat, od lat piętnastu próbuje przywrócić dobre imię dziadkowi. I właśnie teraz, gdy wydawałoby się, że wreszcie jest o krok od osiągnięcia sukcesu, cóż robi? – zachowuje się jak zakochany żółtodziób, przedkładając ponad rozum sentymentalne uczucia.

Joni, Joni. Co za bogactwo włosów i te miliony piegów, a na dodatek, jakie wspaniałe nogi. Całość wręcz imponująca. Lecz, czy mężczyzna przy zdrowych zmysłach może walczyć z przeszłością?

Mógłby teraz przysiąc, że czuje cierpki smak siarki. Zamknął oczy i głęboko wciągnął powietrze czekając, aż charakterystyczny zapach dotrze do jego nozdrzy i płuc.

Powiał wiatr i czerwony kurz osiadł na jego włosach i ubraniu. Strzępy wysuszonych, gigantycznych roślin unosiły się w powietrzu, a on wciąż stał bez ruchu, jak zahipnotyzowany.

Nagle otworzył oczy i z jego ust wyrwało się przekleństwo. Wciąż nie był pewny swego odczucia. A przecież przez moment cel znajdował się prawie w zasięgu ręki.

Może był zbyt zdenerwowany, zbyt żądny udowodnienia, że dziadek miał rację, może mapa była błędnie sporządzona. To było całkiem prawdopodobne. Może powinien wobec tego zapobiec dalszym stratom i wyjechać stąd, zanim ewentualna pomyłka stanie się dla niego zbyt kosztowna.

Jastrząb o pięknym, czerwonym ogonie krążył po niebie, zataczając coraz większe koła. Przez chwilę Chance uważnie go obserwował, aż wreszcie podjął decyzję. Postanowił zainwestować dla siebie samego, dwóch starych ludzi, którzy ośmielili się marzyć i dla... Joni. Odwrócił się nagle i skierował w stronę domu. Nie była w jego typie, a więc dlaczego, do jasnej cholery, tak mu na niej zależało?

A niech to, zapomniała włożyć halkę!

Twarz Joni przybrała odcień czerwieni, prawie takiej jak jej włosy, gdy ujrzała półhalkę leżącą na łóżku.

Pobiegła na górę zamknąć okna, aby kurz nie dostał się do środka i... Spojrzała w dół i spostrzegła, że jej spódnica była idealnie przezroczysta. Nic dziwnego, że Chance tak dziwnie się uśmiechał. Chwyciła halkę i zakładając ją, przypomniała sobie, jak to się stało, że o niej zapomniała.

Tuż po wschodzie słońca wyszła opielic i podlać pomidory. Następnie wróciła, by przygotować śniadanie i upiec szarlotkę. Dziadek był niezwykle gadatliwy tego ranka, częściowo z powodu lekarstwa, które zażywał, a częściowo na myśl o wizycie, której tak bardzo pragnął. Pozostała więc z nim jeszcze, aby wypić drugą filiżankę kawy. Kiedy uporała się już ze wszystkim, pozostało jej niewiele czasu na prysznic i umycie głowy. Gdy jeszcze w białiznie stała na górze w łazience poprawiając fryzurę, usłyszała kroki Chance'a na zwirowej ścieżce. Nie chciała, aby dziadek wstawał, więc założyła sukienkę, którą zapinała po drodze i zbiegła po schodach, aby przywitać gościa.

Teraz, machinalnie podeszła do okna i ujrzała Chance'a zmierzającego w kierunku domu. Już chciała się odwrócić, lecz powodowana jakimś dziwnym impulsem, zmieniła zamiar, pozostając przy oknie. Chance szedł lekkim, sprężystym krokiem, człowieka przyzwyczajonego do wydawania rozkazów. Patrząc na niego, nie mogła powstrzymać się od porównania z sylwetką Larry'ego, wlokącego się z pola w taki sposób, jakby dźwigał ciężar całego świata na własnych plecach. To porównanie wzbudziło w jej sercu niepokój oraz poczucie winy. W ramionach Chance'a czuła się bezpiecznie, czego nie można było powiedzieć, gdy była z Larrym. Może dlatego, że Larry czuł się zawsze trochę zażenowany okazywaniem uczuć, a może po prostu poczucie bezpieczeństwa jest jej teraz bardziej potrzebne niż kiedykolwiek do tej pory.

Odwróciła się od okna. Nie mogła sobie dać rady z mieszanymi uczuciami, które ją opanowały. Nie potrzebowała widzieć tych dwóch mężczyzn obok siebie, aby dostrzec różnicę między nimi. Musiała jednak pamiętać o jednym – Larry rozbudził w niej nadzieję, a następnie ją zawiódł. Jeżeli zaufa Chance'owi, sytuacja

może się powtórzyć.

– Wiecie, to jest cholernie dobre – powiedział dziadek, sięgając po następny tost.

To, że sam dotarł do kuchennego stołu, już było dla Joni czymś nadzwyczajnym. To, że wziął następny kawałek, gdy zwykle poprzestawał tylko na jednym, wywołało w jej oczach błysk szczęścia. Spuściła powieki, by powstrzymać łzy. Spojrzała na Chance'a, który siedział naprzeciwko niej.

– Nie lubisz pizmianu jadalnego?

Rzeczywiście nie był smakoszem dziwacznych potraw. Nie chciał być jednak niegrzeczny, więc nakłuł jeden z ciemnozielonych strąków i włożył go do ust. Zdziwiony stwierdził, że jest bardzo delikatny i smaczny. Przełknął i spojrzał na nią zaskoczony.

– Sądzę, że chyba lubię.

– Podaj, proszę, sos – dziadek wziął tost, rozłamał go i umieścił na talerzu. Przyjemny, maślany zapach uniósł się w powietrzu.

Joni i Chance w tym samym momencie sięgnęli po sosjerkę. Ich palce spotkały się na porcelanowym naczyniu. Spojrzeli na siebie. Poczują, jakby przez jej ciało przeszło napięcie miliona woltów. Cofnęła rękę i ażeby ukryć zmieszanie, zabrała ze stołu pusty talerz po mięsie.

– Przyniosę jeszcze trochę steków – głos Joni zabrzmiał nienaturalnie.

Odsuwając krzesło do tyłu, wstała i podeszła do pieca, czując iż magnetyczne, zielone oczy śledzą każdy jej ruchy. Dobrze, że spódnica nie jest już przezroczysta, pomyślała z zadowoleniem, gdy otworzyła piec i wyjęła resztę mięsa. Nie mogła jednak powstrzymać się od myśli, co on sądzi o jej nogach. Wiedziała, że jej największym atutem były rude włosy i długie nogi, których tak kiedyś nie cierpiała. Jak większość dzieci, największą wagę przywiązywała do tego, żeby się nie wyróżniać. I tak była wystarczająco inna, po stracie rodziców w wypadku samochodowym, spowodowanym przez pijanego kierowcę. Być

sierotą, mieć rude włosy i patykowate nogi wydawało się jej potrójnie niesprawiedliwe. I jeszcze te piegi... o Boże, jako nastolatka próbowała wszystkiego, od ekstraktów wybielających poczynając, a kończąc na specjalnych ziołowych kompresach. Oczywiście, nic z tych zabiegów nie wyszło. Teraz, w wieku dwudziestu dziewięciu lat, stwierdziła, że piegi umiejętnie kryją ukazujące się na jej twarzy zmarszczki.

Zamykając drzwiczki piecyka, odwróciła się do stołu, czując się bardzo nieswojo pod badawczym spojrzeniem Chance'a. Przyglądał się jej swymi zielonymi oczami.

– Proszę bardzo – wręczyła dziadkowi półmisek z mięsem, chcąc uniknąć powtórzenia poprzedniej sytuacji i zajęła swoje miejsce.

– Ja już dziękuję – dziadek przekazał półmisek Chance'owi. – Teraz mam ochotę na kawałek szarlotki.

Uśmiechnęła się i z miłością dotknęła jego chudego policzka.

– Dzisiaj jesz znacznie lepiej niż zwykle.

Chance nałożył sobie kawałek apetycznie wyglądającego steku wieprzowego i podał półmisek Joni. Gdy pokręciła przecząco głową, postawił go na środku stołu i wziął tost.

– Jeszcze trochę piżmianu? – zapytała z przekornym uśmiechem.

Trudno powiedzieć, kogo bardziej zaskoczył swoją odpowiedzią – ją czy samego siebie.

– Chętnie, poproszę.

Podawała mu talerz z warzywami. Uśmiechnęli się do siebie, tak jakby byli współautorami jakiegoś głupiego żartu.

– To jest najlepszy obiad, jaki jadłem od wielu miesięcy – oświadczył Chance, polewając pokruszony tost gęstym, kremowym sosem.

– Joni otrzymała nagrodę w konkursie gotowania – oświadczył dumnie dziadek.

Poruszyła się niespokojnie na krześle.

– To było tak dawno temu.

– To było wtedy, gdy pobraliście się z Larrym, jak sobie

przypominam – ciągnął w zamyśleniu.

– Wieki temu – wstała ze złością sprząając ze stołu. Zanim się zorientowała co robi, zabrała talerz Chance’a, tuż sprzed jego nosa.

– Joni! – nagana w głosie dziadka pomogła jej opanować wściekłość i zmieszanie. Zatrzymała się na chwilę przed wyrzuceniem wszystkiego do śmieci. Odwróciła się od zlewu i spostrzegła ponury wyraz twarzy Chance’a.

Zanim usiadł do stołu, zdjął marynarkę i teraz jego jasna koszula znakomicie podkreślała pięknie opaloną skórę oraz silną budowę ciała.

– Przepraszam – powiedziała w zakłopotaniu. Z pewnością to nie była jego wina, że właśnie zaczęła walczyć z uczuciami uwodzonej kobiety. – Czy będziesz jeszcze jadł?

Chance spojrział na pomieszane jedzenie na swoim talerzu i pokręcił głową.

– Nie, daj to psu.

– Wiesz co – zaproponowała, sięgając po papierową torbę i przekładając do niej pieczeń z talerza przygotowuję ci to na drogę.

Uśmiechnął się z aprobatą.

– To dobry pomysł. Przeważnie jadam poza domem i myślę, że dużo wody upłynie, zanim znowu będę mógł zjeść domowy obiad.

– Myślę, że nie będzie tak źle – zapewnił dziadek.

Dwie pary zaskoczonych oczu zwróciły się w kierunku starego człowieka. Figlarny uśmiech pojawił się na jego twarzy.

– Właśnie tak sobie myślę, że skoro Chance zdecydował się na próbne wiercenia, mógłby u nas zamieszkać.

– Czyżby pan był jasnowidzem? – Chance nie miał do tej pary okazji, ażeby zdradzić swoje plany i słowa starca bardzo go zaskoczyły.

Wydawało się, że dalszy ciąg rozmowy o interesach nastąpi dopiero po obiedzie, ale Joni natychmiast chciała wiedzieć, co dziadek miał na myśli.

– Zamieszkać? – powtórzyła, patrząc podejrzliwie na dziadka jak gdyby postradał zmysły. – Czy myślisz o tym, by się tutaj

przeniósł?

– Przynajmniej tyle możemy zrobić dla niego, biorąc pod uwagę, co on zamierza zrobić dla nas. Poza tym, teraz, gdy śpię na dole, Chance może zająć mój pokój.

A był on położony dokładnie naprzeciw sypialni Joni.

Dziadek spoglądał na nią wyczekująco z twarzą tak ożywioną, jakiej Joni dawno u niego nie widziała.

– A więc, co o tym myślisz?

– Ja... – Joni zorientowała się, że znalazła się w pułapce. Dziadek tak bardzo potrzebował towarzystwa, a pierwsze kroki na drodze do przyjaźni już zostały poczynione. Jednak ona nie chciała spędzać każdej nocy na ucieczkach przed Chance'em McCoyem, była tak słaba, a on taki męski. Oczywiście nie mogła się do tego przyznać, więc zwróciła się do Chance'a: – Wydawało mi się, że mieszkasz w swoim biurze?

Dziadek skrzywił się z dezaprobatą.

– W tej koszmarnej norze?

– Koszmarna nora! – Chance spojrział na nią z oburzeniem. – To tak opisałaś moje biuro?

Joni zaczerwieniła się, lecz nie zamierzała się wycofać.

– Wolisz, żebyś powiedziała – chlew?

– Czy to nie wszystko jedno? – usiłował ratować sytuację dziadek.

– Aż tak źle – zapytał zmieszany Chance.

– Niestety, tak – przyznała.

– No więc, ponieważ doszliśmy do porozumienia – powiedział dziadek – poproszę kawalek szarlotki i filiżankę kawy.

Jednak Joni nie uważała, że wszystko jest już załatwione. Kroiła szarlotkę i nalewała kawę, zastanawiając się, czy nie należałoby jednak sprowadzić ślusarza.

Chance spojrział na niebo, wyraźnie zaskoczony, że tak szybko zrobiło się ciemno i włożył słoneczne okulary do kieszeni marynarki.

– Chyba nie będą mi już potrzebne.

Joni objęła rękoma drewniany słupek łączący balustradę z dachem i przytuliła policzek do jego zimnej powierzchni.

– Dziękuję, że mi pomogłeś położyć dziadka do łóżka. Dziwne jak szybko on cię polubił.

– Posłuchaj Joni – Chance schodząc po schodach zatrzymał się nagle i odwrócił, chcąc spojrzeć jej w oczy – przepraszam za to, co powiedziałem tego popołudnia o oddaniu dziadka do domu opieki. Szczęściarz z niego, że ma ciebie.

– Opieka nad bliskimi to rodzaj rodzinnej tradycji – uśmiechnęła się na widok jego włosów zlewających się z kolorem nieba. – Wychowywał mnie od czasu, jak umarli moi rodzice, a teraz spłacam wobec niego dług wdzięczności.

Była cicha, bezwietrzna noc – niezwykła chwila ukojenia. Ziemia szykowała się do snu, żaden odgłos nie mącił ciszy. Księżyc, wspomagany przez milion gwiazd, rozlał srebrną smugę światła nad nieurodzajnymi polami, które ciągnęły się hen, aż do linii horyzontu.

Czy naprawdę są nieurodzajne? – myślała Joni. Może jednak gdzieś w ich wnętrzu ukryta jest ropa?

Nie będzie niestety znała odpowiedzi na to pytanie, dopóki Chance nie przeprowadzi specjalistycznych badań.

Roześmiała się nagle, przypominając sobie minę dziadka, gdy Chance poinformował, że prześle im czek na dwadzieścia tysięcy dolarów wraz z dokumentem dzierżawy, na którym powinni złożyć swoje podpisy.

Siedzieli na zewnątrz – dziadek i ona na huśtawce oraz Chance obok, w fotelu na biegunach – rozmawiając o różdkarstwie i różnych sposobach wiercenia. Usłyszawszy nagle o pieniądzech, dziadek, z wrażenia, o mały włos nie spadł z huśtawki. Joni obawiała się, że tak wiele emocji nie wyjdzie mu na zdrowie. Przypomniała sobie, jak nagle pochylił się do przodu w gwałtownym ataku kaszlu i uśmiech znikł z jej twarzy.

– Do jutra wszystko będzie w porządku – powiedział Chance uspokajająco.

– Mam nadzieję – Joni powróciła do sprawy, która męczyła ją

od obiadu. – Wiesz, on bardzo pragnie, abyś się do nas przeniósł.

– A ty bardzo pragniesz mnie przed tym powstrzymać – głos Chance’a zabrzmiał ironicznie.

– Tak – powiedziała. – To prawda.

– Czy mogę wiedzieć dlaczego? – zapytał, pochylając się ku niej.

– Boję się, że go skrzywdzisz – puściła słupek i cofnęła się o krok, czując potrzebę dystansu. – Boję się, że uzależnisz go od siebie, że może cię nawet pokocha. A kiedy odjedziesz...

– Dlaczego kłamiesz Joni?

– Nie wiem, o czym mówisz...

– To nie chodzi o twego dziadka – Chance powoli wchodził na ganek. – Boisz się, że ja ciebie zranię.

– To śmieszne! – zaprzeczyła gwałtownie.

– Czyżby? – posuwał się wolno w jej kierunku, jak zwierzę szykujące się do ataku na swoją ofiarę. Stała teraz tyłem do drzwi wejściowych. Światło padające z boku nadawało jego skórze odcień złota.

– Co... co chcesz zrobić?

– A jak myślisz? – zatrzymał się, opierając dłonie na drewnianych framugach drzwi, zamykając jej drogę odwrotu.

Skrzyżowała przed sobą ramiona, mocno zaciskając pięści.

– Myślę, że chcesz mnie pocałować.

Chance pochylił głowę, aż jego usta znalazły się tuż przy jej twarzy. Joni drżała. Ciepło, bijące od niego, przenikało jej cienką, dżersejową sukienkę. Przez na w pół przymknięte powieki Chance znowu ujrzał jej obrączkę.

– Jeszcze nie teraz – wyszeptał w jej drżące wargi – ale już wkrótce.

Noc tchnęła całym bogactwem wiosennych zapachów. W oddali jakiś ptak zakwilił żałośnie. Nawet wiatr, zawodząc łagodnie, zdawał się uczestniczyć w jakimś dziwnym miłosnym misterium.

Joni najpierw spojrzała w dół na zimną, złotą obręcz otaczającą jej palec, a następnie na śmiałe rysy twarzy Chance’a.

– Dam ci znać, kiedy się zamierzam wprowadzić – powiedział, zanim się odwrócił i zszedł po schodach ganku.

Przesunęła palcami po spragnionych ustach, zdając sobie nagle sprawę z tego, że człowiek ten sprawi jej jeszcze wiele kłopotów.

4.

Chance wprowadził się następnego niedzieli, a już po tygodniu Joni była gotowa się wyprowadzić.

Wszystko ją w nim denerwowało. Wszędzie było go pełno. Czasami odnosiła wrażenie, że wypełnia sobą cały dom. I wcale nie chodziło o to, że miał imponującą sylwetkę, chociaż mierzył sto osiemdziesiąt trzy centymetry bez obuwia, a w bieliźnie ważył siedemdziesiąt sześć kilogramów, wiedziała również, że na jego umięśnionym ciele nie było ani grama tłuszczu.

Z chwilą, kiedy jednak wraz z nimi zamieszkał, sprowadził ze sobą cały swój zewnętrzny świat. Wiatr, który nigdy nie rozstawał się z jego włosami, zapach skóry przepelniony słońcem – słony i ożywczy, obszerne ramiona w drzwiach, które wydawały się za małe, i hałaśliwy śmiech w cichym dotychczas domu. Czasami musiała opuszczać pokój, gdy wchodził, gdyż wydawało się, że zabraknie dla obojga powietrza. Innym powodem niechęci do Chance'a było to, że zburzył jej cały dotychczasowy rozkład zajęć.

Gdy w poniedziałek wstała, tak jak zwykle, o świcie, przez przypadek wpadła na niego w łazience. Stał tam pięknie opalony, bez koszuli i w spodniach jedynie częściowo zapiętych, podczas gdy ona miała na sobie tylko krótką, nocną koszulę. Mimowolnie się zarumieniła, starając się uporządkować beładnie opadające włosy.

Środowe popołudnie Chance spędził majstrując przy samochodzie. Joni wykonywała jakieś pamięciowe obliczenia. Niestety, nie mogła wyłączyć się na tyle, ażeby nie słyszeć

ciągłego stukotu w warsztacie. Gdy wreszcie po trzecim dodawaniu tych samych cyfr, zorientowała się, że za każdym razem otrzymuje inny wynik, odłożyła rejestr na bok.

Ubiegłego wieczoru Chance i dziadek siedzieli do późnych godzin nocnych rozmawiając, śmiejąc się i śpiewając. Joni poszła do swego pokoju, zazwyczaj jeszcze trochę czytała przed snem. Tym razem jednak leżała samotnie w swym obszernym łóżku żalując, że zrezygnowała z ich towarzystwa.

Zabawne. Nie mogła sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatnio miło spędziła czas. Nie znaczy to oczywiście, że rozczuliła się nad sobą. Po śmierci Larry'ego, podjęła samotną walkę o utrzymanie się na powierzchni i nie żałowała swej decyzji. Kochała tę ziemię, żyła na niej – siejąc i przyglądając się jak wszystko rośnie, walczyła ze słotą i inwazją owadów, tak jakby opiekowała się dzieckiem podczas choroby i bolesnych przejść wieku dojrzewania. Nawet jeśli kukurydza ją zawiedzie, pozostaną jej grządki pomidorów i kontrakt z handlarzem żywności z Oklahoma City, który zajmował się rozwożeniem świeżych warzyw po całym świecie. Być może w przyszłym roku uzyska znaczne dochody z ropy i będzie mogła przeprowadzić eksperyment z nowym gatunkiem nasion, które ostatnio tak reklamowano.

I oto teraz miała tydzień ciężkiej pracy poza sobą, a przed sobą sobotnią noc, która nie wiadomo, co przyniesie...

– Joni?

– Chance! – serce zabiło jej gwałtownie, gdy oderwała się od balustrady ganku. Nie wiedziała, czy ma to przypisać temu, że ją zaskoczył, czy też, że wyglądał tak wspaniale w białej koszuli i starannie wyprasowanych spodniach. – Wydawało mi się, że dzisiaj wieczorem wybierasz się do miasta z kolegami.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi, aby nie obudzić dziadka i w okamgnieniu pokonał dzielącą ich przestrzeń.

– Tak planowałem, dopóki Tex nie wspomniał mi o jakichś tańcach na rozstaju dróg, czy coś w tym rodzaju.

Pamiętając, co się wydarzyło ostatnio, gdy byli tutaj sami, Joni

postanowiła znaleźć bezpieczne schronienie na huśtawce.

– Dokładnie na rozdrożu, na wolnym powietrzu.

– Masz na myśli rozstajne drogi?

– Jakieś dwa kilometry stąd na zachód – powiedziała i usiadła.

Spojrzał w tym kierunku. Półcień podkreślił nierówne linie na jego czole, nosie i ustach.

– Byłaś tam już kiedyś?

– Moja przyjaciółka, Loretta West i ja chodziłyśmy tam w każdy sobotni wieczór – ukryła dłonie w fałdach sukni, mocno ściskając palce. Z nieznanых powodów była niezwykle niespokojna tego wieczoru.

– Byłaś tam z Larrym?

– On nie lubił tańczyć.

Chance ujrzał w mroku jej oczy.

– Czy chcesz tam pójść znowu?

– Co? – Joni nie byłaby bardziej zaskoczona, gdyby poprosił ją, żeby rozpostarła skrzydła i zaczęła latać.

– Słyszałaś – Chance wyjął z kieszeni koszuli papierosa i srebrną zapalniczkę, wysadzaną turkusami. Nigdy nie palił w domu, ze względu na dziadka. Jednak teraz? Nie był pewny, czy będzie w stanie trzymać rękę z dala od Joni, jeżeli ich natychmiast czymś nie zajmie.

Przyglądała się jego poważnej twarzy w czerwonożółtym świetle zapalniczki, nieświadoma tego, że nie tylko ona miała wątpliwości co do sensu ich randki. Chance uważał, że był za stary, aby prowadzić ten flirt w tak wolnym tempie.

Tego ranka, gdy Joni wpadła na niego w łazience, z włosami w nieładzie i zaspanymi niebieskimi oczami, siłą woli powstrzymał się, aby właśnie tam nie zmusić jej do uległości. Po tym incydencie ustalili kolejność korzystania z łazienki. On miał prawo pierwszeństwa rano, przed wyjściem z domu, ona wieczorem, ponieważ lubiła chodzić spać bardzo wcześnie.

Za każdym razem, gdy przypominał sobie, jak nęcąco wyglądała w krótkiej koszuli nocnej, ozdobionej gustowną koronką, czuł jak bardzo pragnął tej kobiety.

No i ten jej denerwujący zwyczaj opuszczania pokoju za każdym razem, gdy wchodził. Zawsze miała pod ręką jakąś wymówkę. Nawet dziecko zrozumiałoby jednak, że najwyraźniej go unikała.

Dziadek, prawie jedyny, pozostały przy życiu przedstawiciel rodziny – żonę stracił przy narodzinach dziecka, syna i synową w tragicznym wypadku samochodowym, i pięćdziesiąt procent zdrowia przez kaprys natury. Jedyną rzeczą, której nie stracił był duch walki, przekazany swojej wnuczce.

Chance mocno zaciągnął się papierosem, zastanawiając się, co doprowadziło go do tak kłopotliwego położenia. Nagle, wypuszczając chmurę dymu, zmienił zdanie i postanowił wyjaśnić Joni, że rano musi wrócić do biura.

Ubiegła go jednak.

– Dziękuję za zaproszenie, ale tak dawno tańczyłam, że chyba wszystko zapomniałam.

Nie mógł zrozumieć dlaczego nie zaakceptował jej odmowy. Wprost przeciwnie, za wszelką cenę starał się ją namówić, aby z nim poszła.

– Taniec to tak jak jazda na rowerze. Jeżeli raz się nauczysz, nigdy nie zapomnisz.

– Sama nie wiem... – jedna jej połowa chętnie skorzystałaby z okazji i wyrwała się choć na chwilę z domu, druga obawiała się, że przyjęcie zaproszenia, to jak drażnienie byka czerwoną chustą.

– No... Joni – przymilał się do niej. – Włóż coś odświętneho i chodź ze mną.

Odezwały się cykady, niecierpliwie naśladując bicie jej serca. Wciąż jednak się wahała.

– A jeżeli dziadek się obudzi i będzie czegoś potrzebował?

– Gdy będziesz się ubierała – powiedział – zadzwonię i poproszę Skinny’ego, by przyszedł i pozostał przy nim.

Joni patrzyła na pola. Powodzie świateł oświetlały nowo wybudowany szyb i baraki, w których mieszkali robotnicy.

– On nie idzie na zabawę?

– Nie.

– Dlaczego?

Chance zachichotał.

– Ponieważ kobieta, z którą ostatnio tańczył, oskarżyła go o naruszenie nietykalności osobistej.

– Jak to? – zapytała zaszokowana.

– Zaatakował ją swymi dwoma lewymi nogami.

Roześmiała się.

– Cóż mam powiedzieć?

Zaciągnął się po raz ostatni i zgaślił papierosa.

– Powiedz, że się zgadzasz.

Roześmiała się.

– W porządku, zgoda.

Otworzył przed nią drzwi.

– Sprawdzę, co z dziadkiem i zadzwonię do Skinny’ego.

Poczula zapach sosnowego mydła, gdy przemknęła obok niego.

– Spotykamy się na ganku za dwadzieścia minut.

– Będę tam z wybiciem zegara – zapewnił ją. Joni wbiegała już po schodach, gdy nagle się zatrzymała i odwróciła.

– A przy okazji, czy powiedziałaś ci, że doktor Rayburn mówił wczoraj o tobie same dobre rzeczy?

– Naprawdę? – Chance zatrzymał się w progu salonu. – Cóż takiego powiedział?

Uśmiechnęła się.

– Że jesteś wymarzonym lekiem dla dziadka.

– Hej, to cudownie – powiedział, rozprostowując ramiona i ukazując jednocześnie dołeczki na twarzy, które tak oczarowały Joni.

Znowu poczuła się zagrożona. Zastanawiała się, czy nie powinna zrezygnować z tej... randki. Chance zauważył cień wątpliwości w jej oczach i postanowił odwrócić jej uwagę od trapiących myśli, zanim wycofa się z danego mu słowa.

– Jeszcze nie opowiedziałas mi, co wydarzyło się w banku.

– W banku? – jej głos świadczył o tym, jak daleko była myślami. – Jakim banku?

– Zastanawiałem się, jak zareagował Jassee James, gdy

zwróciłaś mu dług na dwa tygodnie przed terminem.

– Ach tak. – Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu na wspomnienie tamtej sytuacji. – No więc, gdy wreszcie przyszedł do siebie, zgodził się na przedłużenie terminu zapłaty naszych kolejnych rachunków do czasu eksploatacji szybu.

Ta rozmowa o pieniądzach spowodowała, że Joni znowu zaczęła myśleć o farmie.

Jak większość farmerów, tonęła po uszy w długach. W latach ożywienia gospodarczego, inflacja i słaba pozycja dolara za granicą doprowadziła do bardzo szybkiego wzrostu cen na płody rolne oraz ziemię. Ponaglani przez ekonomistów oraz urzędników administracji rządowej, prowadzili uprawę całej powierzchni, pożyczając pieniądze na zakup nasion, nawozów i paliwa dieslowskiego, wszystko dla ziemi, która była od tak dawna w posiadaniu rodziny.

Pamięta ten dzień, gdy uderzono w nich w najbardziej nieoczekiwanym momencie. Bank nie chciał ich dłużej kredytować i zażądał zwrotu pożyczki. Nigdy nie zapomni tego dnia. Dziadek, mimo wstrząsu, zniósł tę sytuację nad podziw dobrze. Jeśli chodzi o Joni, to wydawało się, że będzie gorzej. Natomiast Larry... Larry zupełnie się załamał.

Nie chcąc dopuścić, aby bank zabrał im wszystko, sprzedali dwieście akrów ziemi i cały żywy inwentarz. Uzyskane ze sprzedaży pieniądze pomogły im zredukować dług i zaciągnąć kolejną pożyczkę na wyjątkowo korzystnych warunkach, dzięki której mogli znowu uprawiać ziemię. Dziękowali Bogu sądząc, że najgorsze mają już za sobą. Tak jednak nie było. Dolar się umacniał i eksport stał się nieopłacalny. Gdy żywność, która była przeznaczona na wywóz za granicę, wypełniła amerykańskie magazyny, ceny na płody rolne spadły niemal do zera. Jednocześnie stopa procentowa udzielonego im kredytu podskoczyła do 22 %.

Nadszedł dzień, gdy dziadek podjął kroki ofensywne, pisząc długie elaboraty do wszystkich, poczynając od właściciela banku, a na prezydencie Stanów Zjednoczonych kończąc. Joni podjęła

pracę kelnerki w miejscowym barze szybkiej obsługi, otrzymując w zamian niewysoką pensję plus napiwki. A Larry... Larry odszedł.

Teraz, po trzech latach, odkąd została sama ze wszystkimi kłopotami, zjawił się Chance i Joni znowu uwierzyła w przyszłość. I to właśnie z tego powodu, tylko z tego – powiedziała sobie surowo – winna jest mu towarzystwo dzisiejszego wieczoru.

– No cóż – powiedziała, przerywając te smutne wspomnienia. – Chyba powinnam już pójść na górę. I pozostawić przeszłość za sobą – dodała cichutko.

– Chyba tak – zgodził się, widząc z ulgą, że cień znikł z jej oczu, a w jego miejsce pojawił się uśmiech. W takich chwilach, kiedy była zamyślona, zawsze czuł się bezradny, bo nie wiedział, jak jej pomóc.

Chance podszedł do schodów i zawołał:

– Joni!

Odwróciła się, a jej włosy, zebrane w dziewczęcy kucyk, znalazły się na lewym ramieniu.

– Tak?

– Zostaw rozpuszczone włosy dzisiejszego wieczoru.

5.

Pięć minut na prysznic, dziesięć na wysuszenie włosów i zrobienie makijażu oraz pięć na ubranie się. Joni nie miała czasu, aby zastanawiać się nad tym, co robi. I tak może było lepiej. Przynajmniej nie dręczyły jej wątpliwości.

Mimo wszystko, gdy schodziła na dół dwadzieścia minut później, była wyraźnie zdenerwowana. A jeżeli Chance'owi nie spodoba się sukienka? Może zrobiła za mocny makijaż? A co z płynem do rąk? Po co go użyła, skoro nie robiła tego od miesięcy. Miesiące? Lat!

Zatrzymała się na dole i zwilżyła wargi koniuszkiem języka, może ze strachu, a może na wszelki wypadek. Wzięła głęboki oddech, aby pozbyć się tremy. Podeszła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz szukając Chance'a. Nie było go tam. No tak, można się było tego spodziewać. Zmienił zdanie i poszedł na tańce bez niej. Błyskawicznie odwróciła się od drzwi, gdy zobaczyła światło w kuchni. Słyszac śmiech Chance'a i dziadka postanowiła zobaczyć, co się tam dzieje. Tak jak przypuszczała, siedzieli przy stole i grali w karty. Joni stanęła w progu niezdecydowana. Obydwaj spojrzeli na nią przelotnie.

Jej lawendowoniebieska sukienka z cienkiej tkaniny była utrzymana w romantycznym stylu minionej epoki. Koronkowy kołnierzyk ozdabiał z przodu wspaniałą linię szyi i przechodził z tyłu w wycięcie w kształcie litery „v”, wąski pasek podkreślał jej kibić, podczas gdy obszerna spódnica kręciła się wdzięcznie wokół jej kształtnych łydek. Zgodnie z prośbą Chance'a pozwoliła

włosom swobodnie spływać po plecach w ognistej kaskadzie. Na nogach miała rzemykowe, białe sandały.

– Niech mnie kule biją! – wykrzyknął dziadek, odkładając na bok karty. – Wyglądasz jak nadchodzące lato.

Chance rzucił na stół przegrane dwadzieścia pięć centów i uśmiechnął się.

– Nie ująłbym tego lepiej.

Joni poczuła dotkliwy ból. Ze zdenerwowania zupełnie zapomniała o oddychaniu. Nabierając głęboko powietrza do płuc, spojrzała na Chance'a.

– Jestem gotowa.

Dziadek szeroko otworzył usta ze zdziwienia.

– Czy ja już tej sukienki gdzieś nie widziałem?

– Należała do babci.

Joni znalazła ją w cedrowej skrzyni na poddaszu wraz z przepisem na szarlotkę. Od razu się jej spodobała. Pomimo upływu czasu, prezentowała się doskonale. Potrzeba było tylko kilka zakładek w staniku, aby leżała jak ulał.

Na twarzy dziadka pojawił się smutek.

– Tak, teraz sobie przypominam. Ruthan miała ją na sobie w dniu, w którym się jej oświadczyłem.

Joni poczuła się winna.

– Jeżeli nie chcesz, abym ją nosiła, to powiedz.

– Noś ją na zdrowie i wszystko, co tylko chcesz, kochanie. Myślę, że babcia byłaby bardzo szczęśliwa wiedząc, że dobrze się w niej czujesz.

– Dziękuję dziadku – Joni podeszła do kuchennego stołu i pocałowała staruszkę w pomarszczony policzek.

– Idźcie już i bawcie się dobrze.

– Przepraszam, że obudziłem cię o tej porze – powiedział Chance, wstając.

Stary człowiek wzruszył ramionami.

– Mam całą wieczność do spania.

Chance delikatnie uściśnął jego ramię.

– Skinny powinien tu wkrótce być.

Dziadek rozpoczął stawianie pasjansa, a oczy świeciły mu się szelmowsko.

– Będę na niego wyglądał.

Po uzyskaniu przyrzeczenia, że stary wyga karciany nie wyciągnie od Skinny’ego zbyt dużo dwudziestopięciocentówek, Chance zaprowadził Joni do samochodu – kabrioletu, Thunderbird, rocznik 56, który prezentował się zupełnie nieźle. Wytarty chrom odbijał się od jaskrawoczerwonego koloru całości.

– Czy chcesz, żebyśmy postawił dach? – zapytał, jednocześnie otwierając przed nią drzwiczki samochodu.

– Niekoniecznie – podniosła do góry głowę i pokręciła nią przecząco. – Jeszcze nigdy nie jechałam kabrioletem.

Chance zajął miejsce dla kierowcy, starając się zapamiętać postać Joni w krótkim świetle samochodowego reflektora.

– W schowku jest chusta, jeżeli będzie ci wiało.

Joni patrzyła w nocne niebo, mówiąc sobie, że to śmieszne czuć się zazdrosną o te wszystkie kobiety, które przystawały na jego propozycje. Jedna randka i już była gotowa przywiązać do siebie tego faceta.

– Uwielbiam wiatr – powiedziała.

Chance włożył kluczyki do stacyjki. Jednak zamiast uruchomić silnik, odwrócił się do niej.

– C’mere.

Spojrzała na niego, ze zdziwieniem.

– Co takiego?

Przesunął prawą rękę wzdłuż oparcia siedzenia i schwycił kosmyk jej jedwabistych włosów, zakręcając go wokół palca.

– Nie lubię bałaganu w moim samochodzie.

– To znaczy, że chcesz, abym...

– Daj tutaj te twoje włosy.

– Ale...

– Żadnych ale – włosy.

– Niewygodnie – jęknęła, zmuszona przysunąć się bliżej niego.

– Tak lepiej – oświadczył, puszczając ją tylko na moment, by włączyć silnik i zmienić biegi, a następnie ponownie otoczył ją

ramieniem.

Podczas gdy Joni wskazywała drogę, Chance prowadził samochód jedną tylko ręką tak znakomicie, jak większość kierowców nie potrafi dwiema. Chance przez cały czas patrzył na drogę. Starał się jak mógł, by trzymać swą wolną rękę z dala od jej drobnych piersi i smukłej szyi. Chciał przekonać się, czy to ciało było rzeczywiście takie jędrne, na jakie wyglądało, czy jej skóra była tak delikatna i atlasowa, jak sobie wyobrażał.

Joni siedziała nieruchomo z rękami w fałdach sukni i zaciśniętymi kolanami. Jednak jej myśli były aż nadto swobodne. Za każdym razem, gdy brał zakręt, przesuwała się siłą bezwładności jeszcze bliżej niego. Zastanawiała się nad tym, jakiego uczucia doznawałaby przyciskana przez ten krzepki tors w łóżku. Ilekroć wiatr rozwiewał jego świeżo umyte włosy, natychmiast przypominała sobie kędzierzawy zarost na jego klatce piersiowej.

Powietrze zachwycało różnorodnością zapachów. Dzikie, przydrożne kwiaty wabiły odurzającą wonią, a księżyc pokrywał wszystko srebrzystą poświatą. Wiosna – przyroda budziła się właśnie po zimowym śnie, gdy Joni i Chance mieli zakończyć dzieło rozpoczęte przez ich dziadków.

Jak tylko Chance odkryje ropę, spakuje się i wyjedzie. Joni zastanawiała się, co wtedy zrobi, jaka zima ją czeka.

– Chyba się zbliżamy – powiedział Chance, naciskając hamulec. – Słyszysz muzykę.

Joni również ją słyszała.

– To tuż za zakrętem. Skręć w lewo, w tę boczną drogę i jedź, dopóki nie zobaczysz świateł.

W przeszłości, kiedy tymi drogami pędzono bydło, skrzyżowania były ważnym łącznikiem ze światem zewnętrznym. Farmerzy przebywali setki kilometrów, aby dostarczyć bydło, które następnie rozwożone było po całym kraju. Obecnie, w dobie postępu cywilizacyjnego, krzyżówki te stały się opustoszałe i bezużyteczne. Ciężarówki z bydłem i wielkie cysterny wyprzedzały się teraz na betonowych autostradach, rezygnując z

niepotrzebnych już nikomu dróg. Skrzyżowania zaczęły pełnić inną rolę. Każdego sobotniego wieczoru, po całotygodniowej ciężkiej pracy, jeżeli tylko pozwalała na to pogoda, wszyscy gromadzili się na rozdrożach – początkowo przy ogniskach, słuchając tęsknego zawodzenia skrzypiec, z biegiem lat – ogniska zostały zastąpione przez reflektory samochodów, a skrzypce – przez hałaśliwe tranzystory radiowe. Tylko ludzie wciąż tańczyli przy tym samym świetle gwiazd.

Chance jeździł wokoło, poszukując miejsca do zaparkowania. W końcu znalazł lukę między odnowionym el camino a rdzewiejącym fordem ranchero.

– Jak na obywateli kraju, który znajduje się w głębokim kryzysie, zachowują się dziwnie beztrosko.

Joni doświadczyła uczucia żalu, gdy ją puścił, aby zgasić silnik. Szybko jednak to uczucie stłumiła.

– Przecież to zabawa i to za darmo.

– Oczywiście, czegoż więcej może chcieć ciało!?! – Pozostawił włączone reflektory i nastawił radio na tę samą stację, której każdy tu słuchał. Z głośnika popłynęła muzyka country.

– Przydałaby się szczotka – zauważyła Joni, bezskutecznie próbując uporządkować potargane przez wiatr włosy.

– Poszukaj w skrytce – poradził Chance, manipulując jednocześnie pokrętełkiem regulującym dźwięk radia.

– Dzięki, ale... – niezbyt podobał się jej pomysł korzystania z cudzej szczotki.

– Nie obawiaj się – powiedział, widząc jej wahanie. – To twoja.

Zaskoczona, spojrzała na jego profil w świetle reflektorów.

– Moja?

– Gdy pomagałem dziadkowi w łazience, zobaczyłem ją leżącą na półce i wziąłem, by włożyć do skrytki – ponownie usiadł, badawczo się jej przyglądając w sposób powodujący przyspieszone bicie serca.

– Ach tak – uśmiechnęła się i sięgnęła po szczotkę. Już sama myśl o tym, że dotykał jej osobistych rzeczy, działała na nią

dziwnie podniecająco.

– Proszę – Chance wyjął szczotkę z jej bezwolnych dłoni – pozwól.

Joni chciała odmówić, lecz widząc zdecydowany wyraz jego twarzy, wiedziała że nie odniesie to żadnego skutku. Odwróciła się do niego plecami, podczas gdy jej puls stawał się coraz szybszy – jak rytm melodii country, który zagłuszał nocną ciszę. Jedno długie, wolne pociągnięcie szczotką po włosach i wiedziała, że jest zgubiona. Wydawało się, że on również o tym wiedział. Ponownie przeciągnął szczotką od czubka do nasady głowy, na tyle zdecydowanie, aby rozczesać potargane sploty, lecz jednocześnie na tyle delikatnie, aby nie sprawić jej bólu. Nigdy nie przypuszczała, że ta prosta czynność może być aż tak podniecająca. Czuła jak przenika ją dreszcz.

– Masz wyjątkowo piękne włosy. – Brał pasma do ręki i delikatnie gładząc je palcami z zachwytem patrzył, jak złotą kaskadą spadały na jej wąskie ramiona.

Schyliła głowę z podziękowaniem, nie ufając swemu głosowi. Położył szczotkę na tablicy rozdzielczej i chwycił Joni za ramię.

– Odwróć się.

Wbrew rozsądkowi zrobiła to. Serce waliło mocno, gdy dotknął jej brody.

– Nie, Chance – podniosła ręce do jego ramion, chcąc go zarazem odepchnąć i przytulić.

– Tak, Joni – całował każdy fragment jej ust, muskając końcem języka drżące wargi. Zapomniała o rozsądku, oddając się sile pożądania, które tak długo hamowała. Mocno przycisnęła usta do jej ust, rozniecając w jej duszy żar, którego nie podejrzewała. Tłumione tak długo uczucie wybuchnęło płomieniem, któremu poddała się bezwolnie. Jednak kiedy pocałunek się skończył i odsunęli się od siebie, wiedziała, że jeśli natychmiast się nie opamięta, może później tego żałować.

Chance dotknął palcami jej szyi i wodził nimi tak, jakby chciał zmusić krew do podążania za ruchem jego dłoni.

– Pragnąłem to zrobić od chwili, gdy pierwszy raz przyszedł do

mnie do biura.

Joni cofnęła się w panice. Chwyciła go za ręce, jak gdyby chciała powstrzymać go przed pozbawieniem jej siły do oporu.

– Nie, proszę.

– Co nie? – zapytał delikatnie.

Puściła jego ręce i cofnęła się.

– Zrozum, nie chcę zrobić czegoś, czego będę żałowała, gdy odjedziesz.

Przyciągnął ją do siebie.

– A może to będzie coś, co będziesz chciała zapamiętać.

– Pamiętam już wystarczająco dużo – jej miękki i łagodny głos sprawił, że umilkł natychmiast.

W radiu puszczano właśnie jakąś kiepską piosenkę, gdy Chance cofnął rękę i przyglądał się przygnębionej Joni, opartej o drzwi samochodu. Wreszcie zrozumiał. Ten cholerny gnojek, za którego wyszła, niezłe narozrabiał.

Szybko wysiadł z kabrioletu, obszedł go dookoła i otworzył przed nią drzwi.

– Wsiadaj!

Wiele odwagi kosztowało Joni, aby spojrzeć mu w oczy. Zrobiła to jednak.

– Masz prawo być wściekły.

– Zgadza się, jestem, i to bardzo – z furią trzasnęła drzwiami samochodu.

– W takim razie, może lepiej będzie, jak znajdę kogoś, kto...

– Przywiozłem cię tutaj, to i odwiozę.

Z poczuciem winy odwróciła wzrok.

– Proszę, uwierz mi, nie miałam zamiaru cię kokietować.

– Być może robiłaś to nieświadomie. – Spojrzał na lewą dłoń Joni, teraz mocno zaciśniętą, czując potrzebę ściągnięcia tej przeklętej obrączki z jej palca i tym samym uwolnienia jej od przeszłości. – Jednak podświadomie chciałaś się ze mną kochać.

Joni podniosła głowę zaskoczona.

– To kłamstwo! – powiedziała cicho.

– Naprawdę? To dlaczego tak się dzisiaj wystroilaś? I dlaczego

prawie że siedziałaś na moich kolanach?

– Chciałaś, żebym to zrobiła.

– Jakoś nie bardzo protestowałaś.

Wszystko to brzmiały jak prawdziwie, że aż poczuła nieznośny ból w piersiach.

– Jesteś szalony – zdobyła się na kpiący uśmiech.

Zaklął w duchu.

– W porządku, jestem szalony, bo pragnę kobiety, która jest poślubiona duchowi.

Joni zachwiała się, jak gdyby ją uderzył. Zanim zdążyła odpowiedzieć, Chance odwrócił się gwałtownie i odszedł w kierunku światła.

Instynktownie pobiegła za nim i chwyciła go za ramię.

– Dokąd idziesz?

Zatrzymał się na moment, aby uwolnić się z jej uścisku.

– Ponieważ nie mogę tu skorzystać z zimnego prysznica, może ochłodę przyniesie mi zimne piwo.

Loretta West miała na sobie białą, letnią sukienkę, która świetnie kontrastowała ze złotobrązową karnacją jej skóry. Teraz siedząc na jednym z bujanych foteli, tuż przy kręgu tańczących osób, trąciła Joni łokciem.

– Ależ Joni, jestem przekonana, że ten twój nafciarz, tak naprawdę, jest bardzo delikatny.

Joni spojrzała na Chance'a tańczącego z brunetką w czerwonych wranglerach i długich butach, a następnie na Lorette.

– Wcale nie jest moim nafciarzem.

– Gdybyś widziała, jaki był wściekły, kiedy tańczyłaś z Simpem Creedem, wiedziałabyś, dlaczego nazywam go „twoim” nafciarzem.

– To śmieszne – rzuciła Joni. – Simp i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi, nic poza tym.

– Ty wiesz swoje, a ja swoje – zgodziła się Loretta. – Jednak gdyby tylko spojrzenie mogło zabijać, biedny Simp leżałby już dawno martwy.

Joni skierowała wzrok na tańczących, gdzie Chance z wyjątkową zręcznością prowadził swoją partnerkę. Zauważył jej spojrzenie, kiwnął więc głową i odwrócił się, a ona podziwiała jego szerokie ramiona, obejmujące niestety inną kobietę. Tańczył, poruszając się w urzekająco łagodny sposób, rzadki u mężczyzn o jego posturze. Serce zaczęło jej bić mocniej na wspomnienie niedawnych pocałunków. Obracając złotą obrączkę wokół palca, próbowała przypomnieć sobie pocałunki Larry'ego. Jej pamięć zatrzymywała się jednak na zmysłowym tempie dotknięć Chance'a. Wiedziała, że nie ma sposobu, aby mogła o tym zapomnieć.

Loretta pochyliła się i położyła rękę na ramieniu Joni.

– To, w jaki sposób reagujesz na tę obrączkę, sugeruje, że była ona dla ciebie jedynie udręką.

– Właśnie myślałam, żeby ją zdjąć – przyznała Joni, świadoma, jak ciężkim brzemieniem stała się ona w ciągu ostatnich dwóch tygodni – ale nosiłam ją przez siedem lat i gdybym ją teraz zdjęła, poczułabym się całkowicie obnażona.

Loretta roześmiała się.

– Całkiem nieźle, jak na początek.

Joni odsunęła rękę.

– Zapomnij o tym, co ci przed chwilą powiedziałam, dobrze?

Loretta spojrzała na nią szczerymi niebieskimi oczami.

– Widzę, że w końcu zdecydowałaś się na zmianę fryzury i rozpuściłaś włosy.

– Tylko na dzisiaj wieczór.

– Pierwszy krok we właściwym kierunku.

Joni, niezadowolona z przebiegu rozmowy, rozejrzała się wokół, lecz zgubiła Chance'a w tłumie.

– Czy mówiłam ci, że dziadek zaczął brać nowe lekarstwo?

– Oto i on!

– Kto? – jednak jej niedbała z pozoru reakcja nie zdołała oszukać Loretty.

– Twój nafciarz.

Joni poczuła, że narasta w niej gniew na widok Chance'a

śmiejącego się z czegoś, co mu opowiadała partnerka.

– Już ci mówiłam...

– ...że nie jest twoim nafcierzem – Loretta skończyła za nią.

Muzyka właśnie ucichła i tańczący schodzili z parkietu. Chance zostawił partnerkę i poszedł w kierunku beczki piwa, z zainteresowaniem obserwowany przez jakąś kobietę w jasnoniebieskiej sukience.

Jego słowa wróciły do Joni, nie dając jej spokoju. Nie chciała się do tego przyznać, lecz trafił w sedno.

Jak jednak, bez poczucia winy, miała rozwieść się z duchem?

Disc–dżokej melodyjnym głosem zapowiedział ostatni taniec. Była to romantyczna ballada ciesząca się wśród farmerów ogromnym powodzeniem.

– Ostatni taniec należy do pań – przypomniała jej Loretta.

– Gdyby chciał ze mną zatańczyć, podszedłby do mnie – odpowiedziała Joni.

Loretta nigdy nie była zamężna, pomimo to wiedzę o mężczyznach opanowała do perfekcji.

– Może czeka na twoją inicjatywę.

Joni wyglądała tak, jakby zjadła coś niestrawnego.

– Widziałas nas w samochodzie?

– Na zewnątrz również.

Zabrzmiała muzyka i magiczna siła znowu popchnęła tańczących w stronę parkietu. Joni poczuła, że musi znowu zaryzykować. Podjąwszy decyzję, wstała.

– Dzięki, Loretta – rzuciła w stronę przyjaciółki. Dziewczyna mrugnęła do niej porozumiewawczo.

– Idź do niego, głuptasie.

Joni, potrącana przez tańczących, z wysiłkiem przeciskała się, szukając wzrokiem swego przeznaczenia. Chance dostrzegł ją i ruszył naprzeciw.

– Myślałem, że nigdy nie podejdziesz.

Serce zaczęło jej bić gwałtownie, gdy poczuła, jak ją obejmuje.

– Nie bądź taki gwałtowny, jeśli chcesz coś osiągnąć.

– Przy tobie jestem łagodny jak baranek – powiedział,

przyciskając ją do siebie.

Całkowicie pogrążyli się w muzyce, a światło gwiazd sprzyjało intymności ich pojednania. Joni tańczyła z zamkniętymi oczami, z policzkiem na piersi Chance'a, czuła jego naprężone mięśnie, ciepłe ręce, silne bicie serca i odurzający leśny zapach jego ciała.

Kroki ich stawały się coraz wolniejsze, w miarę zmniejszania się dystansu między nimi. Joni mocno zacisnęła ramiona wokół szyi Chance'a, trzymając go tak, jakby nigdy nie chciała puścić. Chance przytulał ją mocniej i mocniej, tak że słodkie fale gorąca przepływały przez jej ciało, reagowała z oddaniem na każdy dotyk. Wyszepiała jego imię, kiedy poczuła muśnięcie warg na swojej skroni. Muzyka już dawno ucichła, a oni wciąż trwali w miłosnej ekstazie.

Tymczasem nadszedł czas pożegnania. Motory ożyły nagle. Jasnożółte światła reflektorów wygasły. Na ich miejsce pojawiły się czerwone na tyłach samochodów.

Joni i Chance stali samotnie na rozdrożu myśląc o tym, dokąd pójdą za chwilę. Wiedziała, że Chance pragnie ją zaprowadzić do swego łóżka. On wiedział, że Joni potrzebuje jeszcze trochę czasu, ażeby spełnić jego oczekiwania. Obydwoje milczeli, mając jednocześnie świadomość, że jeżeli któreś nie przerwie tej zniewalającej ciszy, to jednak wszystko skończy się w łóżku.

Wiatr, który zerwał się nagle, rozkołysał korony drzew.

Chance objął wąską kibić Joni i poprowadził ją w kierunku kabrioletu.

– Chodźmy do domu.

– Och nie! – Poczucie winy wyrwało ten okrzyk z ust Joni, gdy zobaczyła samochód doktora Rayburna zaparkowany przed domem.

– Coś się stało z dziadkiem, kiedy nas nie było odepchnęła ramię Chance'a i wyskoczyła z samochodu, zanim zdążył go zatrzymać.

Drobny żwir dostawał się do jej sandałków i ranił dotkliwie palce, gdy biegła ścieżką. Łzy bezsilności wypełniły jej oczy, gdy potknęła się, wbiegając po schodkach ganku.

– Uważaj! – Chance znalazł się przy niej, w ostatniej chwili ratując przed upadkiem.

– Zostaw mnie! – Joni niemalże histerycznie odtrąciła jego rękę.

– Do cholery, próbuję ci pomóc!

– Czyż nie zrobiłeś już wystarczająco dużo dzisiaj?!

Zanim zdołał zapytać o sens tych słów, wyrwała się z jego uścisku i potykając się, już bez jego pomocy, pokonała resztę schodów. Drzwi otworzył jej doktor Rayburn.

– Co z dziadkiem? – zapytała.

– Wszystko będzie dobrze – ze zmierzwioną strzechą włosów na głowie, sumiastymi wąsami i w zmiętym białym garniturze doktor przypominał Joni Marka Twaina.

– Dzięki Bogu! – uczucie ulgi odmalowało się na jej twarzy. – Co się właściwie stało?

Doktor Rayburn zachmurzył się.

– Z tego, co mogę powiedzieć, wynika że dziadek zaczął tak ciężko kasłać, iż nie mógł złapać oddechu. – Spojrzał na Chance'a. – Kiedy twój kolega zadzwonił do mnie, miał tak przerażony głos, że powiedziałem, iż natychmiast przyjadę i dam dziadkowi zastrzyk na sen.

– Gdzie jest Skinny? – zapytał Chance.

– Wysłałem go do domu – odpowiedział lekarz.

– Skąd wiedział, gdzie ma zadzwonić? – zmieszana się Joni.

– Zostawiłem mu numer telefonu doktora – odpowiedział Chance.

Zawstydzona, że sama o tym nie pomyślała pochyliła głowę i wyszeptowała z głębi serca:

– Dziękuję.

– Może filiżankę kawy? – zaproponował Chance?

Doktor Rayburn skinął głową.

– Z przyjemnością.

W kuchni Joni zaparzyła kawę, a Chance ukroił kilka kawałków piernika i zanurzył je w świeżo ubitej śmietance. Starła się nie myśleć o tym, jak cudownie było mieć u boku

Chance'a.

Kiedy doktor Rayburn wypił kawę, wypisał dla dziadka dwie nowe recepty.

– Zamierzam zmniejszyć dawkę tych tabletek, które, jak mi się zdaje, są przyczyną bezsenności i przepiszę dziadkowi trochę pigułek nasennych, aby organizm mógł się zrelaksować.

Chance schował recepty do kieszeni. Kiedy Joni usiłowała zaprotestować, wzruszył ramionami i powiedział:

– Muszę po coś pojechać do miasta w poniedziałek, przy okazji mogę i to załatwić.

– Wypiszę ci czek na tę sumę – zdała sobie sprawę z tego, że dysponuje w ten sposób pożyczonymi przez niego pieniędzmi, ale nie mogła pozwolić na to, aby pokrywał jej wydatki z własnej kieszeni.

Doktor Rayburn przyglądał się Chance'owi znad filiżanki kawy.

– Dziadek Joni mówił mi, że zamierzasz przystąpić do wierceń w przyszłym tygodniu.

– Jak Bóg da i jeżeli rzeka nie wyleje – potwierdził Chance.

Doktor uśmiechnął się do Joni.

– Co zamierzacie zrobić z tą całą masą pieniędzy, gdy zaczniecie eksploatować szyb?

Uśmiechnęła się.

– Wyrównać nareszcie, dług w stosunku do pana, doktorze.

Postawił pustą filiżankę na spodeczku, jednocześnie poważniejąc.

– Powiedziałem ci w zeszłym miesiącu, że dobrze byłoby postarać się o zasilek z funduszu stanowego.

– To nie wystarczyłoby – żałowała bardzo, że pewnego dnia musiała zrezygnować z polisy ubezpieczeniowej, ale – jak większość rodzin farmerskich nie stać jej było na opłacanie składek.

Pokręcił swą rozczochraną głową.

Chance sięgnął po filiżankę doktora Rayburna.

– Napije się pan jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję, dwie o tej porze to byłoby stanowczo za dużo.
Joni spojrzała na zegar z kukułką wiszący nad piecem, zaskoczona, że dochodzi już północ.
- Ojej, nie przypuszczałam, że jest już tak późno.
- Czas szybko mija, gdy się go spędza w miłym towarzystwie – zażartował Chance.
- Czy coś ciekawego wydarzyło się dzisiaj na rozdrożu? – zapytał doktor Rayburn, szykując się do wyjścia.
- Co pan rozumie przez coś ciekawego?
- Och... – w zamyśleniu przeciągnął ręką po wąsach. – Czy ktoś się z kimś pobił, całował, czy może zalecał do kogoś – takie typowe ploteczki.
- Nie przypominam sobie żadnej – powiedziała Joni i pomyślała, że nie mówi prawdy.
- Kuchenny zegar zakukał, punktualnie odmierzając czas. Joni ziewnęła i przeciągnęła się.
- Bardzo przepraszam, ale najwyższy czas, żeby pójść spać.
- Na mnie też już pora. Cieszę się, że znowu zaczęłaś bywać wśród ludzi, Joni.
- Zaczęłam i jednocześnie skończyłam – oświadczyła z determinacją.
- Twoja obecność przy dziadku nie powstrzymałaby ataku – powiedział doktor.
- Wiem, ale... – odwróciła głowę w poczuciu winy.
Doktor Rayburn pochylił się i poklepał ją po ramieniu.
- Ja również bym temu nie zapobiegł.
- Joni, opanowując zły nastrój, wstała.
- Nigdy nic nie wiadomo, nieprawdaż?
- Chyba nie – odpowiedział z zakłopotaniem. Chance, który milczał podczas tej ostatniej wymiany zdań, obserwował twarz Joni i widząc malującą się na niej jakąś dziwną zaciętość, postanowił dowiedzieć się, co się za tym kryje. Wstał i podniósł czarną, skórzaną torbę doktora.
- Muszę jeszcze coś zrobić przy samochodzie, więc odprowadzę pana, doktorze.

– Wspaniale.

Joni zebrała talerzyki ze stołu i wstawiła je do zlewu.

– Twój dziadek powinien bez problemu spać całą noc po zastrzyku, który mu dałem – zapewnił doktor Rayburn, wychodząc.

Joni szybko uporała się z naczyniami. Następnie, zanim udała się do swojej sypialni, zajrzała jeszcze do dziadka, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Zasłona była lekko odsunięta i gdy w świetle księżycy ujrzała jego twarz, poczuła w gardle jakby dławiacą kulę. Policzki miał zapadnięte, a skóra na nich wydawała się być zupełnie przezroczysta. Jednak rytm oddechu śpiącego był prawie normalny.

Jego pies, którego nazwał „Szybszy”, dlatego że wołał uganiać się za zającami, niż pilnować domu, leżał zwinięty przy jego boku. Podniósł czujne oczy, jakby chciał zapewnić ją, żeby spała spokojnie, ponieważ on będzie tu czuwał. Dotknęła pieszczotliwie wiernego psiska, odwróciła się i wybiegła z pokoju.

Na górze umyła twarz i zęby w rekordowym tempie, nie chcąc ryzykować spotkania z Chance'em. Od czasu, gdy go poznała, czuła się wciąż jak na huśtawce, nie mogąc określić jednoznacznie uczuć, które do niego żywiła. Teraz nie była w stanie odpowiedzieć na żadne z pytań, które czytała w oczach Chance'a, gdy wychodził odprowadzić doktora. Odwróciła się od łazienkowego lustra, nie mając odwagi spojrzeć sobie w oczy i pospiesznie udała się do sypialni. Rozebrała się w ciemności i natychmiast położyła do łóżka.

Zwykle nie miała kłopotów z zaśnięciem, tym jednak razem leżała z zamkniętymi oczami, a sen wciąż nie przychodził. Zdawało się jej, że wiatr delikatnie szepce wciąż jedno imię... Chance...

Chance... Chance... Pamięć jego silnych ramion, zmysłowego dotyku jego ust, obudził w niej pożądanie, którego nie była w stanie stłumić.

Słyszała niskie, męskie głosy unoszone przez wiatr. Trzasnęły drzwi samochodu. Zaskrzypiał podnoszony dach kabrioletu.

Opony samochodu doktora Rayburna zachrzęściły na żwirowej ścieżce. Na próżno jednak czekała na dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych oraz na głuchy odgłos kroków, skierowanych w górę, do sypialni. W końcu, pokonana przez ciekawość, co też mogło zatrzymać Chance'a, wyskoczyła z niegościnnego łóżka i podeszła do okna. Uklękawszy, oparła się rękami o parapet. Będąc niewidoczna, obserwowała Chance'a spacerującego po ścieżce i palącego papierosa. W blasku księżyca podziwiała jego barczyste ramiona i nieprawdopodobnie symetryczne plecy. Podwinięte rękawy białej koszuli wspaniale kontrastowały ze śniadą cerą.

Mocno zaciągnął się papierosem, następnie rzucił go na ziemię przydeptując nogą. Wiatr rozgarniał pasma włosów Chance'a i Joni ledwie pokonała powstałe nagle pragnienie, żeby wybiec do niego i potargać te włosy.

Chance nie przerywał marszu, mrużąc pod nosem przekleństwa. Raz zatrzymał się, długo i w zamyśleniu patrząc w jej ciemne okno. Odskoczyła na bok, bojąc się, że mógł zauważyć, iż go obserwuje. Gdy jednak usłyszała regularne skrzypienie żwiru pod jego niecierpliwymi stopami, ponownie wróciła na swoje stanowisko. Przekonanie, że on cierpi równie mocno jak ona, nie przyniosło jej żadnej ulgi.

Nie poruszyła się, dopóki nie wszedł do środka. Pospieszyła do łóżka, żeby nie zdradziły jej stare, trzeszczące klepki podłogi. Leżąc tak w ciemności, z ciałem napiętym jak łuk, usłyszała stłumione trzaśnięcie drzwi i zbliżający się odgłos jego kroków. Westchnienie ulgi, zabarwione nutką rozczarowania, wymknęło się z jej ust, gdy usłyszała, jak drzwi sypialni Chance'a zamykają się. Powiedziała sobie kiedyś, że noce są najtrudniejsze. Od czasu, gdy Chance zamieszkał pod ich dachem, noce stały się dla niej nie do zniesienia.

6.

Ogarnęło ją zniecierpliwienie, gdy zaparkowała furgonetkę i wysiadła. Drzwi do stodoły były otwarte i wiatr niemiłosiernie nimi szarpał. Cholerna kryjówka Larry'ego! Wiedziała, że ostatnio, z powodu ich kłopotów finansowych, był w ciężkiej depresji, ale to nie tłumaczyło jego niedbalstwa.

Zdejmując kelnerską przepaskę z włosów, na obolałych nogach przeszła przez dziedziniec. Właśnie skończyła pracę na dwóch zmianach. Czy tylko ona musi tu o wszystkim myśleć?

Drzwi, przeraźliwie skrzypiąc, otworzyły się znowu szeroko, wymykając się z jej rąk. Po walce z jedną ich połową, mocno ją zamknęła, z drugą jednak nie mogła sobie poradzić. Dziadek nie miał siły, aby naoliwić zawiasy, Larry natomiast nie zwracał uwagi na ten koszmarny dźwięk. Będzie więc musiała zrobić to sama. Zobaczyła światło w szopie.

– Larry? – jedyną odpowiedzią było echo jej własnego głosu. Mając jakieś dziwne przeczucie, minęła puste teraz przegrody dla krów i poszła w kierunku światła.

Złowróżbne wycie wiatru, skrzyp zawiasów i trzaskające za jej plecami drzwi spowodowały, że zaczęła się bać. Bardzo długo po tym pamiętała przyćmione światło rozlewające się po małym królestwie Larry'ego, a w ustach metaliczny smak strachu, gdy się zbliżała.

– Jeżeli to żart, Larry Fletcher...

Urzędowe zawiadomienie o przejęciu farmy leżało na półce z narzędziami. Wzięła je drżącą ręką, żałując, że nie było jej w

domu, gdy przyszła poczta. Kiedy dowiedziała się, że jedna z kelnerek zachorowała, zgodziła się ją zastąpić, wykorzystując szansę dodatkowego zarobku.

Drzwi stodoły otworzyły się ponownie z trzaskiem, zajęczał wiatr, krokwie w odpowiedzi zadrżały. To natura zawodziła nad czymś żałośnie.

Jakiś dziwny chłód poraził jej serce, gdy włożyła kartkę do kieszeni i sięgnęła po lampę naftową. To, co zobaczyła, gdy odwróciła się, aby opuścić szopę, było zbyt silnym szokiem...

Zniszczone, znoszone buty. Leżące w rogu ciało...

Znowu go usłyszał. Stłumiony krzyk.

Chance zgasił do połowy wypalonego papierosa w popielniczce, stojącej na szafce przy łóżku i szybko wstał. Założył jeansy i zapinał je po drodze.

Leżał właśnie całkiem rozbudzony, myśląc o tej koszmarnej historii, którą opowiedział mu doktor Rayburn, gdy usłyszał krzyk. Po nim nastąpiła cisza i znów to samo.

W korytarzu było zupełnie ciemno. Otworzył drzwi pokoju Joni. Światło księżycy wpadało przez koronkowe zasłony, oświetlając łóżko zupełnie nie pasujące do tego tak nietypowo umeblowanego pokoju. Leżała tyłem do niego, z twarzą wtuloną w poduszkę. Prześcieradła, udrapowane jak wiktoriańska suknia, spowijały jej nogi, szczupłe ramiona drżały od nocnego koszmaru.

Chance nie wahał się ani chwili. Nie pomyślał, że to, co chce uczynić, może zerwać tę delikatną, cienką nić istniejącą między nimi. Po prostu przeszedł szybkim krokiem przez pokój i wziął ją w ramiona, mocno przytulając do siebie.

– Larry?

Chance drgnął, czując oszalałe dłonie Joni na zaroście swej piersi. Jednak zniósł ten ból, który pomógł mu zagłuszyć inny, spowodowany dźwiękiem imienia tego typu.

– O Boże, śniłam, że ty...

– Cicho, nic ci nie grozi, kochanie – Chance gładził jej mokre od potu włosy. Dotykając ustami czoła, objął jej delikatne ciało. –

Jestem tutaj.

Wiatr poruszył zasłonami, jednocześnie zsuwając prześcieradła. Joni wyprostowała zaciśniętą pięść i przytuliła się do Chance'a, jak małe, śmiertelnie przerażone zwierzątko, szukające bezpiecznego schronienia.

– Zimno mi.

Oparł się gołymi plecami o podglówek, trzymając ją mocno w objęciach. Przeszyła go nić pożądania, gdy Joni objęła go nogą, dotykając kolanem zapięcia jego spodni.

– Trzeba naoliwić zawiasy stodoły – zamruczała.

Usta Chance'a wykrzywił uśmiech.

– Zrobię to z samego rana.

Joni śniła nadal.

– Tak powiedziałaś już wczor... – słodki, spokojny sen zmorzył ją w środku zdania.

Chance zrobił wszystko, żeby się odprężyć. Jednak ciało bolało go bardziej niż chory ząb. Miękkie włosy Joni dotykały jego ust, a miarowy oddech łaskotał jego zarost na torsie, małe, jędrne piersi poruszały się w rytm jego oddechu, podczas gdy szczupła dłoń leżała na jego brzuchu, tuż nad paskiem spodni.

Myśl o czymś innym – strofował sam siebie, gdy znowu uniosła kolano, a jej ręka przesunęła się w dół.

Nie rób już nic więcej, proszę!

Srebrne światło księżyca oświetlało pokój Joni. Wysoka, bostońska paproć, stojąca na szczycie tarasowej gardinerii, wypuszczała bujne, postrzępione wąsy. Parawan, znajdujący się w rogu pokoju, wyglądał wręcz bajkowo. Wygodny szezlong stał naprzeciwko zasłanego poduszkami łóżka. Najpierw ta staromodna sukienka, a teraz ten biały, słodki pokój. Kto by pomyślał, że ta mała, tak trzeźwo myśląca istota ukrywa tak romantyczną duszę.

Chance oparł głowę o podglówek, gdy arystokratyczny nosek Joni otarł się o jego piersi. W takiej sytuacji o śnie nie było mowy.

Wreszcie, na krótko przed świtem, Chance zasnął. Gdy zamknął oczy, uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu

znalazł się w łóżku z kobietą nie po to, aby się z nią kochać.

Na kobietę przyzwyczajoną do samotnego zasypiania, ostry męski zapach podziałał rano jak zimny prysznic. Joni starała się przypomnieć sobie kolejność wydarzeń ubiegłego wieczoru, które doprowadziły ją do tej kompromitującej sytuacji u boku Chance'a. Pamięć zawiodła ją jednak. Spojrzała na zegar stojący obok na stoliku. Najwyższy czas, żeby wstać.

Zmieszała się, gdy podnosząc wolno kolano, zorientowała się, jak bardzo podniecony jest mężczyzna leżący obok niej. Odwracając ostrożnie głowę, przyjrzała się jego opalonej skórze na szyi i mocno zarysowanemu podbródkowi. Z przyjemnością patrzyła na piękne usta Chance'a, które zniewalały zapowiedzią zarówno dzikiej namiętności, jak i cudownej słodczy.

Podniosła wzrok, by spojrzeć mu w oczy, gdy spostrzegła, że Chance uparcie się w nią wpatruje.

- Dzień dobry, skarbie.
- Co ty tu robisz? – wyszeptła.
- Nie pamiętasz?
- Nie.
- Miałaś zły sen.

Nagle wszystko wróciło lodowatą falą – buty, ciało... – konwulsyjnie przełknęła ślinę i podniosła głowę.

– Dziękuję.

Widząc odcisk swego zarostu na policzku Joni, zdumiał się delikatnością jej skóry.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Wyprostowała nogę i z największą ostrożnością zdjęła ją z Chance'a.

– Teraz możesz już sobie pójść.

Jego niecierpliwa dłoń obejmowała kibić Joni.

– Ależ całkiem mi się tutaj podoba.

Zirytowana odpowiedzią Chance'a, uwolniła się z jego uścisku i odwróciła na plecy.

– Muszę się ubrać.

Przez chwilę układał się wygodnie na łóżku.

– Nie zatrzymuję cię.

– Chance...

– We śnie nazwałaś mnie Larrym.

Joni dostrzegła nagły chłód w jego głosie.

– To była naturalna pomyłka, wynikająca z okoliczności.

– Może – zgodził się z pozorną obojętnością. – Ale chciałbym wierzyć, że przynajmniej część ciebie wiedziała, kto naprawdę cię obejmował.

Odwrociła się. Bezlitosna prawda, którą ukrywała w głębi duszy, nagle ujawniona została w czystym świetle jego spojrzenia. Musiała przyznać, że to Chance, a nie Larry przyszedł jej z pomocą. Jednak nie od razu chciała ten fakt zaakceptować. Z początku tonęła, szukając bezradnie liny ratunkowej. Mężczyznę, który tę linę chciał jej podać, postanowiła odrzucić, bojąc się rodzącego się w niej uczucia. Nie była jednak w swym postępowaniu konsekwentna. Z pozoru unikała Chance'a, lecz w głębi duszy akceptowała jego zaloty. W końcu zgodziła się na wspólne spędzenie wieczoru, a teraz dziwnym zbiegiem okoliczności, znalazła się w bardzo kłopotliwym położeniu.

Gorący rumieniec wstydu oblał jej twarz, gdy przypomniała sobie, jak ocierała się nogami o jego drelichowe spodnie i jakiego uczucia doznała kładąc policzek na jego piersi. Wszystko to wyraźnie utrwaliło się w jej pamięci.

I te jej sny... Im bliżej świtu, tym stopień ich erotyzmu rósł.

– O czym były te sny? – Chance uważał, że będzie dobrze, jeśli o tym porozmawiają.

Joni poruszyła się niespokojnie. Czowała się bardzo zażenowana.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

Zastanawiał się, kogo właściwie starała się osłonić – siebie czy też tego trupa, który był kiedyś, na nieszczęście, jej mężem. Wyciągając ramię w poprzek łóżka, usiłował przyciągnąć ją do siebie.

– Nie możesz wciąż siebie okłamywać, przecież to prawda, że...

– Nie dotykaj mnie! – poczucie winy spowodowało, że

skoczyła na równe nogi. Z rękoma na biodrach, z niezawodnym spojrzeniem niebieskich oczu, gdy wszystko inne zawodziło, napadła na niego.

– Zakradłeś się do mego domu, a nawet do mego łóżka! Ale nie, powtarzam, nie wkradniesz się do mego... – przerwała w połowie zdania, zdając sobie nagle sprawę, że ma na sobie cienką, przezroczystą koszulę. A co najgorsze, Chance nawet nie starał się udawać, że tego nie widzi. Joni, opuszczając ręce, uciekła od tych niebezpiecznych, zielonych oczu i podeszła do szafy z ubraniami. Rozegrała swój plan po mistrzowsku.

Chance widział w swym życiu wiele rozebranych kobiet. Czasami również w ich rozbieraniu pomagał. Jednak jeśli chodzi o stopień zmysłowości, żaden ze strip-teasów, których był świadkiem, nie umywał się do widoku tej rozdrażnionej kobiety, ubierającej się pod osłoną koszuli nocnej. Wstrzymał oddech, gdy Joni pochyliła się, aby założyć białe majtki, ukazując jednocześnie okrągłość siedzenia. Wciągając je wzdłuż długich nóg, przy tym wcale się nie spiesząc, doprowadzała Chance'a do szaleństwa. Nagle jej ręce wraz ze stanikiem znikły pod koszulą. Uśmiechnął się, gdy jej ręce męczyły się pod bawełnianą tkaniną z zapięciem stanika. Odetchnął głęboko, gdy Joni sięgała po resztę ubrania. Światło słoneczne podkreślało zarys jej kształtnych piersi okrytych koronkami. Włożyła wiele wysiłku, by założyć jeansy i sprawdzić, czy nie opinają za bardzo jej pośladków. Bez względu na to, czy zdawała sobie z tego sprawę, czy też nie, więcej kobiecych walorów one ujawniały niż ukrywały.

Chance, którego twarz pokrył lekki nocny zarost, spotkał w lustrze wzrok Joni. Zadowolił go widok jej zaczerwienionej twarzy. Cieszył się, że wpadła we własną pułapkę, uprzednio zastawioną na niego. Szybko, odwracając wzrok, założyła bluzkę bez rękawów i zapięła ją nerwowo. Następnie zdjęła koszulę przez głowę i rozłożyła włosy na kołnierzyku bluzki.

– Całkiem niezły show – złośliwie zauważył Chance.

Joni, nie odwracając się w jego stronę, złożyła koszulę i włożyła ją do dolnej szuflady. Właśnie układała plan zemsty,

który jednak po chwili zamienił się w pragnienie, by jednak być z nim razem.

Chance wstał z łóżka i od tyłu podszedł do niej.

– Co robisz na bis? – przywdziewasz żalobę?

Już miała mu wszystko wyznać. Chciała się odwrócić i przyznać, że to co zrobiła, było idiotyczne, lecz słowa Chance'a poniżyły ją do tego stopnia, że nie mogła wykrztusić z siebie słowa.

– Jest pewne określenie na takie kobiety jak ty...

Okryła się purpurowym rumieńcem, gdy Chance przysunął się, przywierając do jej delikatnego ciała. Czowała żar przenikający przez zamek błyskawiczny i podwójną warstwę drelichowych spodni.

– Kobiety, które najpierw zachęcają mężczyznę, a potem go zostawiają...

– Wynoś się z mego pokoju! – wybuchnęła, wreszcie odzyskując głos.

Przez chwilę stał bez ruchu, jakby w oczekiwaniu, że powtórzy swe żądanie. Nagle pożałował, że zachował się tak lojalnie w nocy i z furią ruszył w stronę drzwi. Gdy zatrzasnął je za sobą, Joni zaczęła rozcierać swe tętniące skronie i szepnęła zrezygnowanym głosem:

– Wynoś się także z moich myśli.

7.

Wiercenie rozpoczęli o wschodzie słońca, we wtorek. Chance dał sygnał do rozpoczęcia pracy. Maszyna ożyła i robotnicy ruszyli na wyznaczone im stanowiska.

Stojąc na platformie wiertniczej, Chance poczuł wielką radość płynącą ze świadomości potęgi tego, co stworzył. Ogromny dźwig szykował się do wpasowania w ziemny otwór metalowej rury o długości ponad pół kilometra.

Niech Bóg błogosławi Amerykę. Uwielbiał naftę.

To jednak nie pieniądze były dla niego najistotniejszym bodźcem, lecz umiłowanie ryzyka i podniecający flirt ze starym znajomym – niebezpieczeństwem.

Większość ludzi uważała go za szaleńca. Ich opinia nie miała jednak dla niego żadnego znaczenia. Byli to na ogół ludzie bez polotu i twórczej fantazji. Tacy nigdy nie próbowali ugoru zamienić w urodzajne pole, poruszali się tylko utartymi ścieżkami, a ponad przygodę przedkładali spokojne, dostatnie życie.

Chance był silną osobowością. Wiedział kim jest i do czego zmierza. Pragnął wydobywać z głębi ziemi czarne złoto, tryskające w górę silnymi strumieniami i złożyć w ten sposób hołd pamięci dziadka. Chyba jednak jeszcze bardziej pragnął zobaczyć płomienne włosy Joni rozpostarte na jego poduszce, całować ją tak długo, aż jego oddech przeniknie do jej krwiobiegu, znaleźć się w niej tak głęboko, żeby usłyszeć i poczuć bicie jej serca, spowodować, by stali się jednym ciałem i jedną duszą. Najgorsze było to, że zaczynał o niej myśleć w najmniej odpowiednich

momentach. Miał dotychczas kilka mało znaczących romansów. Za każdym razem wszystko przebiegało podobnie. Gdy nadchodził moment rozstania nikt nie ronił łez. Nigdy nie spotkał kobiety, która podjęłaby z nim otwartą walkę i powodowała, by niepomyślny odmowy, wciąż wracał z nadzieją na ostateczne zwycięstwo. Dopiero Joni to sprawiła. Pokonała go. Kiedyś miał pieniądze, kobiety i samochody. I korzystał z życia w pełnym tego słowa znaczeniu. Z czasem zdał sobie sprawę, że nie to jest najważniejsze, że czegoś w jego życiu brak. Prawda była taka, że pragnął Joni najbardziej na świecie.

Joni wiele w życiu przeżyła. Chance widział zawstydzony wyraz jej twarzy i czuł jak drżała w jego ramionach. Nie mógł, nie wolno mu było lekceważyć jej uczuć.

Nie mógł jeszcze powiedzieć, że ją kocha, ponieważ sam nie wiedział do końca, co to słowo znaczy. Nie mógł jej obiecać, że się tu osiedli, bo miał zobowiązania w różnych miejscach stanu. Nie mógł tego wszystkiego zrealizować, ponieważ... sam nie wiedział dlaczego. Jednego był pewny, że nigdy jej nie skrzywdzi. Nie mógł sobie wyobrazić tych cudownych, niebieskich oczu, gdyby musiał odejść. Więc tłumił w sobie pożądanie i całą energię włożył w pracę przy wierceniu zapominając, że oto przeszedł pomyślnie przez etap testu na prawdziwą miłość dobro osoby ukochanej postawił na pierwszym miejscu.

Pierwszy dzień lata, a jej krzaczki pomidorów osiągnęły już wysokość dziewięćdziesięciu centymetrów. Takie są efekty pracy, gdy się w nią włoży serce.

Joni przyłożyła rękę do obolałego krzyża i wyprostowała się, zmieniając niewygodną pozycję. Sądząc po tempie, w jakim rosły pierwsze plony zbierze zapewne jeszcze przed czwartym lipca. A przecież uprawiała nie tylko pomidory.

Skończywszy pielienie, zdjęła rękawice, przyłożyła do oczu rękę i spojrzała poprzez wypielęgnowane grządki w kierunku pól, gdzie szyb naftowy rósł z godziny na godzinę. Smukła iglica stalowej pajęczyny, wznosząca się nad famą, wydawała się tak

niewłaściwa w tym miejscu, jak drzewo rosnące na środku oceanu. W tej chwili nie widać było ani jednego robotnika, lecz stały stukot i huk dochodzący z szybu mówił, że prace postępują zgodnie z planem.

Potrzeba około dwóch tygodni od rozpoczęcia prac wiertniczych na dotarcie do złoża, nie licząc oczywiście ewentualnych awarii maszyn – powiedział Chance, zanim wyjechał poprzedniego dnia do miasta po narzędzia i przy okazji po lekarstwa dla dziadka.

Od pamiętnej nocy, Chance ani słowa nie wspominał o jej nocnym śnie ani o jej głupim, rannym zachowaniu. Joni miewała bardzo zmienne nastroje. Od radości do skrajnego przygnębienia dzieliły ją często zaledwie minuty. Czasami jej postępowanie stanowiło największe zagrożenie dla niej samej. Wciąż czuła zażenowanie na wspomnienie swego strip-teasu. Oczywiście to Chance ją sprowokował. Jednak, gdy spotkała jego wzrok w lustrze zrozumiała, że obydwójce są w równym stopniu winni temu, co się stało.

Szyb uginał się pod naporem wiatru. Joni opuściła rękę i udała się w kierunku domu. Podsumowując długie kolumny w księdze rachunkowej, zastanawiała się, których wierzycieli musi spłacić natychmiast, a których może przetrzymać na następny miesiąc. Może już niedługo skończą się jej kłopoty finansowe. Nadejdzie lipiec – będzie miała ropę, beczki ropy i pieniądze, sterty pieniędzy. Niestety nie będzie miała Chance'a i prawdopodobnie nigdy nie będzie go mogła mieć. Nie należał do ludzi, którzy zbyt długo zatrzymują się w jednym miejscu. Nie był więc tym, z którym mogłaby związać swoje życie. Uświadomienie tej prawdy było dla Joni bardzo bolesne. Niestety, kochała go!

Kochała jego hałaśliwy śmiech, siłę wewnętrzną i bezwzględny indywidualizm. Tak bardzo go kochała, że miała ochotę obwieścić to całemu światu. Nie mogła jednak zdradzić się z tym uczuciem nawet przed dziadkiem, ponieważ kochała Chance'a zbyt mocno, aby nie pozwolić mu odejść.

– Dziadku?

– Tutaj jestem.

Joni podeszła do frontowych drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Strzępiasty skrawek chmury zasłonił księżyc tak, że miała trudności z rozpoznaniem zgarbionej sylwetki na starej, dębowej huśtawce. Ścisnęło jej się serce na widok dziadka samotnie siedzącego w ciemnościach i z trudnością chwytającego powietrze. Lekarstwo, które łagodziło kaszel, nie pozwalało na szybkie zaśnięcie. Odmówił jednak brania tabletek nasennych, które mu przepisał doktor Rayburn, twierdząc że działały na niego usypiająco w niewłaściwych momentach.

– Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym usiadła obok ciebie? – zapytała Joni.

– Nie siedź do późna w nocy z mego powodu – zaprotestował.

– Jeszcze za wcześnie na pójście spać, nawet dla mnie – Joni zbiegła po schodkach i skierowała się w stronę huśtawki.

Wiatr ucichł, tylko sporadycznie odzywał się lekkim podmuchem. W powietrzu wciąż wyczuwało się obecność dziennego kurzu. Dziadek wygładził miejsce obok siebie i przesunął się trochę w bok, uśmiechając się z wysiłkiem, gdy Joni usiadła. Znowu pochylił się do przodu, z trudem łapiąc oddech. Joni wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała jego plecy. Ze smutkiem wyczuła pod ręką zniekształcony kręgosłup i wystające spod flanelowej koszuli szpiczaste łopatki.

– Psiakrew! – próbując za wszelką cenę nie kasłać: to tak strasznie bolało – potrząsnął głową z rozgoryczeniem. – Zabiłbym konia, który wydawałby takie dźwięki.

Ręka Joni znieruchomiała, serce zamarło.

– To straszne, co mówisz!

– Ale to prawda – powiedział filozoficznie. – Bardziej humanitarnie traktujemy zwierzęta niż ludzi.

Joni, żeby ukryć rozpacz, odrzekła pozornie zagniewana.

– Ostrzegam cię, dziadku, jeżeli nie przestaniesz tak mówić, zadzwonię do doktora Rayburna i każę mu umieścić cię w szpitalu.

– To nie śmierci się boję – dyszał, mówiąc z wysiłkiem – lecz lekarzy.

– Nie możesz się poddawać, nie teraz, kiedy jesteśmy tak blisko zrealizowania naszych marzeń. Nie pozwolę ci!

– Ciało ma prawo do umierania.

Joni zasłoniła uszy rękami.

– Przestań!

Dziadek chwycił ją za przeguby dłoni i zmusił, by opuściła rękę, zaskakując ją dziwnym uporem.

– Obiecuj, że nie odeślesz mnie do szpitala, nie pozwolisz, aby mnie męczyli wkładając rury do nosa i krtani.

– Dziadku, proszę...

– Obiecuj, że pozwolisz mi umrzeć w domu.

To tak miała odpłacić człowiekowi, który sam, bez niczyjej pomocy ją wychował? – składając obietnicę, której wiedziała, że nie dotrzyma.

Straszna walka toczyła się w sercu Joni. We wspomnieniach widziała różne sceny ze swego dzieciństwa i wczesnych lat młodości. Oto dziadek ocierający jej łzy, gdy skaleczyła sobie kolana, dziadek czekający na nią, gdy wróciła ze swej pierwszej randki, dziadek będący przy niej na ślubie i w dniu śmierci Larry'ego.

Pokonała opór dławiący gardło.

– Obiecuję.

Puścił jej rękę.

– Dziękuję kochanie.

W ciszy siedzieli obok siebie, słuchając cykania świerszczy i pohukiwania sów oraz dochodzących z oddali monotonnych odgłosów pracy wiertła. Dziwne, jak te wszystkie dźwięki łączyły się razem, tworząc specyficzną symfonię.

Prace wiertnicze ciągnęły się już od tygodnia, dzień i noc, zatrzymując Chance'a z daleka od domu, od świtu do zmroku, a czasem i dłużej, tak jak dzisiaj.

Zadzwoił z biura, gdy była zajęta w kuchni i powiedział, żeby nie czekali na niego z kolacją. Zaofiarowała się, że mu coś

przyniesie, lecz odmówił twierdząc, że właśnie przekąsił coś z lodówki. Kolacja w domu była więc bardzo samotna.

Księżyc przedarł się właśnie przez chmury i Joni spojrzała w kierunku pól, szukając na próżno muskularnej sylwetki Chance'a. Wielki szyb wtopił się w noc. Jedyne grupy rubinowych światel – ostrzeżenie dla samolotów – były widoczne wysoko na niebieskoczarnym, aksamitnym niebie. Cienie tańczyły na platformie wiertniczej, gdy nie osłonięte niczym elektryczne żarówki huśtały się w takt podmuchów wiatru. Sterty rur błyszcząły w świetle księżyca, a mokra glina oblepiała ludzi i maszyny. Łańcuch, przesuwając się, wydawał metaliczny dźwięk, a dieslowska maszyna łagodnie terkotała. Dźwięk pieniędzy w procesie ich produkcji... dźwięk pożegnania.

Postanowiwszy przerwać rozmyślenia, Joni podniosła się i podeszła do balustrady ganku, patrząc poprzez pola. Pnące się ku niebu nowe życie rozjaśniło uśmiechem jej twarz, gdy rozpoznała grządki pomidorowe. Praca w ogródku pochłaniała ją bez reszty. Podlewała i pielila tak starannie i skrupulatnie, jak gdyby jej życie od tego zależało. A może właśnie tak było. Wiedziała że po śmierci Larry'ego jest bliska załamania nerwowego. Coraz częściej martwiła się o przyszłość. Praca, aż do utraty tchu, o ustalonym dziennym porządku, miała jej dać zapomnienie.

– Hm, chyba Chance nie przyjdzie dziś do domu – powiedział dziadek.

– Chyba nie – Joni zorientowała się, że staruszek tak samo tęskni za nafciarzem jak ona. Powiedziała sobie jednak, że prędzej czy później trzeba będzie się przyzwyczaić do pustego domu. On wkrótce odejdzie.

Zbyt poruszona, aby stać bezczynnie, odwróciła się do dziadka, pomagając mu wstać z huśtawki i wejść do domu.

– Chodź, już czas... – dalszą część zdania porwał ciepły, nocny wiaterek. W tym momencie Joni zobaczyła Chance'a idącego przez pole. Księżyc całkowicie wyszedł zza chmur, oświetlając mu ścieżkę. Jej serce gwałtownie zabiło z radości.

– O wilku mowa... – Joni miała wrażenie, że od jej

przyspieszonego tętna drży cały ganek, na którym stała, gdy Chance biegł po schodach, pokonując jednocześnie po kilka stopni.

– Witaj w domu – powiedział dziadek.

– Głodny jesteś? – zapytała Joni.

– Jak idzie praca?

– Masz ochotę na pieczonego kurczaka?

– Może zagramy partyjkę?

Chance podniósł w górę swe stwardniałe od pracy dłonie, skutecznie powstrzymując zalewającą go lawinę pytań.

– Zaczynając od końca: może później, uwielbiam, dobrze, umieram z głodu.

Zapadła cisza, gdy Joni i dziadek starali się dobrać odpowiedzi do zadanych pytań.

– Ale najpierw – powiedział, zanim zdołali się odezwać – mam zamiar wziąć prysznic.

Był pokryty gliną od stóp do głowy, ale dla Joni nigdy nie wyglądał lepiej. Uśmiechnęła się.

– W bieliźniarce są czyste ręczniki.

Zanim wszedł do środka, posłał jej jeden ze swych zniewalających uśmiechów.

Kwadrans później cała trójka siedziała na ganku jak prawdziwa rodzina, zbierająca się pod koniec dnia: Joni i dziadek na huśtawce, Chance na fotelu bujanym z talerzem na kolanach. Zmiótł trzy kawałki na złoto upieczonego kurczaka i dwie kromki chleba domowego wypieku, grubo posmarowanego masłem. Wreszcie odstawił okrągły talerz na okrągły stolik stojący przy fotelu.

– To było rewelacyjne.

Zaniepokojona Joni zapytała:

– Czyżbyś dzisiaj w ogóle nic nie jadł?

– Nie miałem czasu. – Chance podniósł do ust butelkę piwa i pociągnął mocny łyk. Od czasu, gdy trzymał w jej lodówce sześciobutelkowy karton, każdego wieczoru mógł wypić lodowate piwo.

Zabawne, pomyślał, gdy wysuszył butelkę i odstawił ją na bok. Zanim spotkał Joni, często wypijał wszystkie sześć butelek za jednym posiedzeniem. Teraz wystarczała mu zazwyczaj jedna.

– Powiedziałaś, gdy zadzwoniłeś, że chętnie przyniosę ci obiad do biura – przypomniała mu.

– Niestety, nie mogłem się zgodzić – odpowiedział. – Uważałem, że powinienem jeść to samo, co moi ludzie.

Dziadek zapytał Chance'a o metody wierceń i rozmowa zesłała na tematy techniczne. Joni nie brała w niej udziału. Zastanawiała się nad pewnym pomysłem, który przyszedł jej do głowy. Gdyby dało się go zrealizować, może mieliby więcej czasu dla siebie. Tak czy inaczej, należy spróbować.

Na moment porzuciła własne myśli i wtedy usłyszała, jak Chance zapytał dziadka dlaczego nigdy wcześniej nie próbował wiercić.

– Po śmierci Ruthann nie zależało mi już na tym – odpowiedział cicho dziadek.

– Musiałeś ją bardzo kochać.

– Nie ma dnia, abym nie tęsknił za nią każdą cząstką mego ciała.

Chance zazdrościł temu staremu człowiekowi jego wspomnień. Nigdy w ten sposób nie myślał o kobietach. Nie zaznał nigdy tego typu miłości, tego rodzaju wierności. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek dane mu będzie to przeżyć.

Oczy dziadka zamglily się, gdy sięgnął do wspomnień sprzed pięćdziesięciu lat.

– Oczywiście, wiele nas różniło. Ona lubiła często działać bez namysłu, spontanicznie. Ja lubiłem dopracowywać wszystko do ostatniego szczegółu. Ona łatwo nawiązywała kontakty z ludźmi, ja zawsze miałem z tym problemy. Mimo tych wszystkich różnic mieliśmy jednak ze sobą dużo wspólnego.

Ostatnie zdanie dziadka przypomniało Joni podobne stwierdzenie, które padło nie tak dawno z ust Chance'a. On również uważał, że Joni i jego, wbrew pozorom, więcej łączy niż dzieli. Zastanawiała się, czy Chance też to pamięta. Pamiętał.

Ich oczy spotkały się w świetle księżyca.

– Oboje kochaliśmy tę ziemię – dziadek kontynuował w zamyśleniu – i oboje przyjęliśmy jej wyzwanie. A co najważniejsze, chcieliśmy walczyć... – atak kaszlu przerwał jego słowa.

Jak dobrze wyćwiczona ekipa ratunkowa, Joni i Chance rzucili się na pomoc dziadkowi. Joni podała mu tabletkę nasenną, Chance pomógł mu się przebrać w piżamę. Joni poprawiła poduszkę, Chance przeniósł go do łóżka i delikatnie ułożył. Joni ucałowała pomarszczony policzek, Chance zgasił światło.

Duży zegar ścienny w hallu wybił godzinę dziesiątą.

– Zostawię drzwi mojej sypialni otwarte na wypadek, gdyby się obudził.

Joni unikała spojrzenia Chance'a w obawie, że on odkryje, jak bardzo go potrzebuje dzisiejszej nocy. Odprowadził ją do schodów i zatrzymał się, przyglądając jej pochylonej głowie.

Wiedział, że może ją dzisiaj mieć, że wreszcie ją złamał. W przekonaniu, że tak uczynić powinien, odwrócił się jednak i pozwolił jej pójść na górę samej.

– Chance... – zawołała tak zdławionym głosem, iż prawie go ujęła.

– Nie mów tego, Joni – lepiej mała rana teraz niż później olbrzymi ból – powiedział sobie, gdy szedł w kierunku drzwi.

– Do...kąd idziesz?

– Z powrotem do pracy.

– Długo cię nie będzie?

– Co najmniej kilka godzin.

Przycisnęła rękę do serca.

– Będę czuwała.

Otworzył drzwi tak gwałtownie, że uderzyły o zewnętrzną ścianę budynku.

– Nie rób sobie kłopotu.

– Co to jest?

– Pierwsza pomoc.

Chance podniósł się i obszedł wokoło stół, przy którym pracował nad dziennym raportem. Słyszał oczywiście o pierwszej pomocy, ale...

– Pierwsza pomoc?

– Mrożona herbata i świeżo przyrządzona lemoniada – Joni postawiła na podłodze biura małą lodówkę, którą przyniosła z ciężarówki.

Pokręcił głową z zakłopotaniem.

– W dalszym ciągu nic nie rozumiem.

– Dziadek i ja przywieźliśmy tobie i twojej załodze coś do picia i do jedzenia. – Uklękła przy lodówce i wyciągnęła dwa plastikowe dzbanki z napojami.

– Żartujesz!. – pojemniki, które mu wręczyła, postawił na malutkim stoliku, na którego blacie nie było ani jednej brudnej popielniczki, ani jednej pustej butelki po piwie. – Dlaczego to zrobiłaś?

– To niezdrowo pracować cały dzień bez jedzenia – zamknęła pokrywę lodówki i otworzyła drzwi biura. – Chodź, pomóż mi, mam w bagażniku ciężarówki duży garnek z fasolą i dwa pojemniki chleba kukurydzianego.

Dziadek trzymał w ręku gong obiadowy i zawzięcie nim dzwonił. Wszyscy zbiegli się, aby zobaczyć, co to za zgiełk i powrócili na platformę dopiero pół godziny później, z pełnymi żołądkami i – dzięki staraniom dziadka – kieszeniami wypchanymi butelkami piwa.

– Nie mogę uwierzyć, że sprawiłaś sobie tyle kłopotu – powiedział Chance, gdy zgarnął łyżką resztę fasoli z metalowego talerza, stojącego na środku stołu.

Joni rejczyła się dookoła z wyraźnym zaskoczeniem na twarzy.

– No to jesteśmy kwita, bo ja nie mogę uwierzyć, że tak wysprzątałaś swoje biuro.

– Daleko mu jeszcze do ideału – linie po obu stronach jego ust pogłębił figlarny uśmiech. – Ale po tym, jak ktoś nazwał go chlewem...

– Nie wracajmy do tego – zaczerwieniła się. – To nie była moja sprawa i nie miałam prawa tak mówić.

– Hej! – zapewnił ją szczerze. – Sam przyznaję, że panował tu koszmarny bałagan. Po prostu pogoniłaś mnie, abym wreszcie zrobił to, co powinienem zrobić dawno temu.

– Bardzo się tu na korzyść zmieniło.

– Cieszę się, że to zauważyłaś.

Patrzyli na siebie znacząco. Żadne z nich, jak do tej pory, nic jeszcze nie powiedziało o ubiegłej nocy, chociaż cisza przepelniona była słowami, których nie mieli odwagi wypowiedzieć.

Czekałam do północy – mówiły smutne, niebieskie oczy.

Mówiłem, żebyś nie czekała – odpowiedziały oczy ciemnozielone.

Wymiana zdań bez słów trwała zaledwie kilka sekund, gdy dziadek zapytał:

– Czyżby to było to, o czym myślę?

– Co takiego? – zapytali jednocześnie, a wzrok ich powędrował w kierunku zwykłych krzeseł, które zastępowały kanapę.

– To! – dziadek podniósł w górę stary, pilśniowy kapelusz. Był bez tasiemki, sponiewierany, że nie przyjąłby go nawet włóczęga.

– To był kapelusz mojego dziadka – Chance przesuwając palcami po szklance z herbatą.

Joni przyglądała się jego długim, szczupłym, obejmującym szkło palcom, z cieniem meszku na kostkach i mogła sobie wyobrazić...

– Pomogłem twojej matce doprowadzić go do jako takiego stanu w dniu, kiedy znalazł naszą ropę. – Nazywał go swoim czarodziejskim kapeluszem. – Chance wytarł kciukiem kroplę wilgoci znajdującą się na wierzchu, gdy Joni zauważyła, jak czyste ma paznokcie.

– Jeżeli dożyję stu lat, na co się jednak nie zanosi, nawet wtedy nie zapomnę widoku człowieka, tańczącego po polu jak oszalały.

Wspomnienia ożywiły oczy dziadka.

– Którejś nocy, gdy nie czuł bólu, zatańczył dla mnie. – Chance

patrzył na bursztynowego koloru herbatę tak bardzo przypominającą whisky, która zabiła różdżkarza i krzywo się uśmiechnął. – Muszę przyznać, że wyglądało to bardzo dziko.

– Zatrzymałeś ten kapelusze na pamiątkę? – zapytał dziadek.

Chance roześmiał się, lecz głos jego zabrzmiał dziwnie poważnie.

– Dla pieniędzy, których nie jest wart.

Joni zastanawiała się, jakie szczególne przeżycia były przyczyną tej sarkastycznej uwagi.

– Co sądzicie o wycieczce do szybu? – zapytał nagle Chance.

– Chętnie pójdziemy – zgodziła się Joni.

– Jeżeli nie macie nic przeciwko temu – wtrącił dziadek ziewając – myślę, że zrezygnuję z wycieczki i zdrzemnę się trochę.

– Z tyłu jest składane łóżko, jeśli chcesz się położyć.

Dziadek skinął głową.

– To by mi odpowiadało.

Joni wstawiła garnki, rondle i dzbanki do lodówki i ustawiła ją przy frontowych drzwiach, podczas gdy Chance przygotowywał dziadkowi posłanie. Wybuchnęła nagle śmiechem, gdy zauważyła na ścianie, zamiast nieaktualnego kalendarza z szalową dziewczyną na pierwszym planie, nowy kalendarz Narodowego Banku Pomocy Społecznej.

– Co cię tak rozśmieszyło? – zapytał Chance wracając.

– Ty! – Joni odpowiedziała z niewinnym uśmiechem na twarzy.

– Ach tak? – szybko pokonał przestrzeń dzielącą go od Joni i stanął tak blisko niej, że mogła widzieć cieniutkie, złote żyłki w jego zielonych oczach. – A cóż jest takiego śmiesznego we mnie?

– Po pierwsze, nie mogę sobie wyobrazić ciebie na klęczkach, czyszczącego podłogę.

Wykrzywił usta.

– To nie był interesujący widok.

– A po drugie, nie rozumiem jak mogłeś zdjąć ze ściany tę sympatyczną osóbkę.

Ponownie się skrzywił.

– Beznadziejne sytuacje wymagają śmiałych rozwiązań.

Przez cały czas szeptali, by nie przeszkadzać dziadkowi. Nie potrzebowali się jednak tym martwić, jako że hałas szybu zapewniał im wystarczające poczucie intymności.

– Czy już podziękowałem ci za obiad? – Chance położył ręce na talii Joni.

– Niezupełnie – oparła dłonie na jego szerokich ramionach, zaskoczona własną śmiałością. Szmaragdowe oczy zaniebieściły się.

– W takim razie, jak mam to właściwie zrobić?

Jej szafirowe spojrzenie uchwyciło błysk ognia w oczach Chance’a.

– Możesz, na przykład, przesłać mi kartkę z podziękowaniami.

– To zbyt oficjalne.

– No, to możesz mi wysłać kwiaty.

– W promieniu czterdziestu mil nie ma kwaciarni.

Odchyliła do tyłu głowę.

– Więc wymyśl coś.

– Już wymyśliłem – pochylił się do niej.

Joni poczuła, jak narasta w niej pożądanie. Rozchyliła usta w oczekiwaniu na spełnienie. Ciało jej drżało, przepięknie miłością. Chance wziął ją w ramiona. Ich wargi złączył namiętny pocałunek. Jedną ręką Chance’a powędrowała poniżej talii Joni w kierunku jej jędrnych pośladków, druga zatrzymała się na linii piersi. Smutek należał do przeszłości, rozstanie do przyszłości – pomyślała, gdy przeczesywała palcami jego gęste, czarne włosy i przyciskała go do siebie pragnąc, aby trwało to wieki.

Nie dane im było jednak cieszyć się sobą zbyt długo. Monotonna praca wiertła nagle uległa zakłóceniu. W powietrzu rozległ się pisk, wszystko dookoła zadrżało, po czym nastąpiła ogłuszająca cisza. Chance przerwał pocałunek, mrużąc przekleństwa. Po chwili uśmiechnął się do Joni, objął ją ponownie i poprowadził do drzwi.

– Wygląda na to, że zamiast wycieczki będziemy mieli

poszukiwania.

– A więc czego będziemy szukać? – zapytała. Zatrzymał się tylko na moment, aby zabrać kaski ochronne.

– Złamanej rury wiertniczej.

Monotonny huk dieslowskiej maszyny ustał, lecz w powietrzu rozbrzmiewały krzyki rozbieganej załogi. Przygotowywali się, by podnieść górną część rury, wyciągnąć dolną i dokonać naprawy.

Joni miała na sobie najgorsze spodnie i buty, nie obawiała się więc ubrudzenia. Stała w rogu platformy, czując ścisły związek z pracującymi tu ludźmi. Tex uklonił się jej, Skinny również, gdy podziękowała mu za opiekę nad dziadkiem. Inni przechodząc kiwali głowami w geście powitania. Chance wydawał rozkazy na prawo i lewo. Każdy spieszył, by je wykonać. Gdy podniesiono górną część rury, Chance przykręcił do jej końca ciężki, metalowy cylinder o troszkę większej średnicy niż sama rura. Wyglądał, jak wielki ołowiany ołówek z długim, ostro zakończonym czubkiem. Wokół szpica znajdowały się gęsto wycięte ząbki, tworząc coś w rodzaju pilnika.

Podczas gdy robotnicy przyglądali się przeprowadzanej akcji, Joni obserwowała Chance'a. Rondo jego kasku ukrywało męskie rysy twarzy w mrocznym cieniu, jednak łagodna, poważna linia profilu, świadczyła jak bardzo kochał swoją pracę. Jego umięśnione ramiona wyraźnie rysowały się pod rękawami koszuli. Oczy Joni błędziły po jego silnych udach, które napinały się pod materiałem spodni. Zostawił rękawice w biurze, więc posługiwał się metalowym przyrządem gołymi rękami.

Z wysiłkiem przełknęła ślinę, przypominając sobie jego dotyk i odwróciła się, próbując o tym nie myśleć.

– Sądzę, że mam ją – powiedział nagle Chance, wyciągając uszkodzoną część rury.

Skinny był ogromnie zaskoczony.

– Nie mogę uwierzyć, że tak od razu na to natrafiłeś.

– To dlatego, że mam ważniejsze rzeczy na głowie niż całodzienne poszukiwania. – Chance spojrział na Joni i uśmiechnął się, pokazując piękne białe zęby, kontrastujące z jego bardzo

ciemną cerą. W tym momencie przekazał Texowi prowadzenie dalszych prac i przeszedł na platformę.

– Gdzież to byliśmy, gdy nam tak brutalnie przerwano? – zapytał z uśmiechem.

– Jak sobie przypominam – odpowiedziała niewinnie – miałeś zamiar pokazać mi okolicę.

– A co powiesz o widoku z lotu ptaka?

Joni spojrzała na pobliską platformę i wzdrygnęła się.

– Nie, dziękuję.

– Boisz się wysokości? – zapytał ze zdziwieniem, pamiętając, jak to pierwszego dnia wspinała się do niego na górę.

– Krew mi zaczyna tryskać z nosa, gdy wchodzę na krzesło – przyznała. – Gdybym wdrapała się na tę platformę, pewnie dostałabym krwotoku.

– Nie wiesz, co tracisz.

– Transfuzję krwi.

– Mówię poważnie.

– Ja również.

Chance ugiął kolana, sprawiając, że ich twarze zrównały się.

– Zrób to dla dziadka.

– To chwyt poniżej pasa. – Wiedziała, że dziadek dałby sobie obciąć prawą rękę, byleby tylko stanąć na platformie.

Uśmiech Chance'a oznaczał przyznanie się do winy.

Spojrzała na niego spod daszka kasku olbrzymimi, niebieskimi oczyma.

– Zrobię to pod dwoma warunkami.

– Jakimi?

– Po pierwsze, musisz założyć linkę bezpieczeństwa.

– Boisz się, że spadnę?

Uniosła brodę.

– Tak.

– Zrobię to.

– Po drugie, pojedziemy tylko na wysokość pierwszej platformy.

– Powiem Skinny'emu by uruchomił maszynę – zdecydował.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, miała już przypiętą linkę bezpieczeństwa. Uśmiechnęła się, aby ukryć niepokój. Trochę się zachwiała, gdy winda ruszyła. Powtarzała sobie w duchu, że wszystko będzie w porządku, jeśli tylko nie spojrzy w dół. Chance stał tuż przy niej z linką bezpieczeństwa zapiętą w pasie, otaczając Joni asekurującym ramieniem. Jego załoga trochę dziwnie na niego spoglądała, ale nikt nie kwestionował decyzji szefa.

– No i co sądzisz? – zapytał Chance, gdy weszli na platformę.

Pokonawszy początkowy lęk, przyznała szczerze:

– Jest cudownie!

Przed Joni roztaczał się widok cudownego nieba i falującego terenu. Trawa tak wysoka, że mogłaby ukryć jeźdźca, pokrywała odległe wzgórza, błyszcząc w słońcu srebrzystą zielenią. Bliżej domu dojrzałe zboże złociło się pięknie na pociemniałych polach. Ogródek Joni z jej chlubą, wspaniałymi pomidorami, ledwie był z tej wysokości widoczny. Poszarzały dom i oficyny stały jak pomniki wystawione pionierom, którzy je wzniesli.

Chance w zamyśleniu przyglądał się ziemi, która od czterech pokoleń należała do przodków Joni. Zawsze miał zamiłowanie do włóczęgi. Tej skłonności nie mógł do tej pory pokonać. I teraz oto, stojąc wysoko ponad ziemią, walczył z rodzącą się chęcią zapuszczenia wreszcie korzeni i poczynienia planów na przyszłość.

Joni odwróciła się do niego, napinając mocno linkę bezpieczeństwa i uśmiechając się – jak pełne ufności dziecko.

– Czuję się tak wolna, jak gdyby przypięto mi skrzydła!

Przyglądał się jej słonecznym policzkom, zaróżowionym teraz z podniecenia i oczom tak wielkim i niebieskim jak rozciągająca się za nią połać nieba. Bolała go świadomość, że nie może zrealizować jej pragnienia. Mówiąc wprost: ropy z wodą się nie łączy. Chwycił ją za łokieć i poprowadził w kierunku windy.

– Myślę, że powinniśmy już zjechać.

– Ależ dopiero co wjechaliśmy – nie zrozumiała jego naglej decyzji.

Chance dał Skinny’emu sygnał do opuszczenia windy. W

odpowiedzi rozległ się ryk dieslowskiego silnika. Jechali w milczeniu. Chance próbował wyrzucić Joni z pamięci, podczas gdy ona usiłowała rozszyfrować myśli, kryjące się za jego skwaszoną miną. Dopiero gdy Joni znalazła się znowu na ziemi, zdała sobie sprawę, iż zajęta myślami, nie odczuwała w drodze powrotnej żadnego lęku. Czynię wyraźne postępy, pomyślała z wyraźną satysfakcją i uśmiechnęła się. Chance wiedział, co wywołało ten uśmiech i chciał jej złożyć gratulacje. Głos jego zabrzmiał jednak dość oficjalnie.

– Wyślę kogoś z chłopaków do biura, aby pomógł ci w załadunku ciężarówki.

Zapytała nieśmiało:

– Będiesz w domu na kolacji?

– Nie.

– Szkoda.

Joni kręciła obrączką na palcu raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Są już oznaki ropy?

Z obawy, by jej nie dotknąć, włożył ręce w tylne kieszenie spodni.

– Były, ale musimy wiercić głębiej.

– Przesłaliście próbki do instytutu?

– Tak.

– Macie już odpowiedź.

– Zadzwonili dziś rano.

Zauważyła jakiś błysk w jego oczach, zanim zdążył go ukryć.

– Co powiedzieli?

– A jakie to ma znaczenie? Gdybym wiedział, że tu nie ma ropy, z pewnością nie marnowałbym czasu na wiercenie.

Joni przypominała sobie jego ironiczną uwagę na temat kapelusza dziadka i zrozumiała, że opinia z instytutu geologii nie była pozytywna. Bardzo ją to zmartwiło, nie tyle ze względu na własne nadzieje, ile z powodu Chance'a. Od kiedy to mężczyzna jest dla niej ważniejszy niż pieniądze? A może tak się stało od momentu, gdy go tak beznadziejnie pokochała?

Otworzyła właśnie usta, by mu powiedzieć, że to nie ropa jest

dla niej najważniejsza, lecz on, gdy pompa zaryczała i ponownie rozpoczęły się roboty przy szybie.

– Lepiej wrócę do pracy – powiedział Chance i odwrócił się, by wziąć narzędzia.

– O której będziesz w domu? – Joni zdawała sobie sprawę, że jej głos był zbyt natarczywy, ale nic nie mogła na to poradzić.

W połowie drogi Chance zatrzymał się i odwrócił.

– Myślę, że najlepiej będzie dla nas obojga, gdy od dziś zamieszkać w biurze.

Weszła za nim po schodach, aż jej głowa znalazła się na wysokości jego piersi.

– A co z paradą 4 lipca?

– A co ma być?

– Obiecałeś dziadkowi, że go zabierzesz na nią swoim samochodem.

– Tak było zanim... – przerwał w połowie zdania i zacisnął usta, chcąc przerwać rozmowę. Przysunęła się do niego. Uwielbiała zapach jego skóry – zapach spracowanego człowieka i prawdziwego mężczyzny.

– Zanim co?

– Nieważne.

– Zanim co?

Chance nie chciał jej zranić, lecz nie pozostawiała mu wyboru.

– Zanim zdałem sobie sprawę, że nie mam o co walczyć, ponieważ ty nie możesz mi niczego dać.

Joni odskoczyła, jakby ją uderzył.

– Przecież to dziadka kapelusz cię tu zatrzymał.

– Głupie, sentymentalne uczucie z przeszłości.

Chwyliła go mocno za koszulę.

– Dlaczego tak się bronisz, aby przyznać, jak bardzo ci na tym zależy?

– Do cholery, o czym ty mówisz? – ścisnął jej dłonie mocno, aż do bólu.

– Czy to ubliża twojej męskości, aby przyznać, że kochałeś swego dziadka?

– A czy to ubliża twej kobiecości, że nie mogłaś zapanować nad Larrym?

– Co masz na myśli?

– Wiem, że Larry popełnił samobójstwo.

Szok spowodował, że zwolniła uścisk.

– Kto ci to powiedział?

Opuścił jej rękę.

– Wiem również, że znalazłaś go w stodole, gdy wróciłaś do domu i...

– Kto ci to powiedział? – powtórzyła niecierpliwie.

Zignorował jej pytanie po raz drugi.

– Że wciąż się winisz za to, że nie było cię wtedy w domu, by go powstrzymać.

– Doktor Rayburn ma za długi język – rzuciła Jani.

– Od ciebie natomiast trudno cokolwiek wyciągnąć – odpowiedział szorstko.

Oswobodziła się z uścisku jego mocnych rąk.

– A właściwie to jakim prawem wtykasz nos w moje sprawy i to za moimi plecami?!

– Wynajęłaś mnie za dwadzieścia tysięcy dolarów...

– Nieprawda!

– Wiedziałaś, że chcę wiercić tam, gdzie...

– Byłam zrozpaczona!

– Nie mogłaś przyjść do siebie po śmierci...

– Nie miałam dokąd pójść, nikogo, by zwrócić się o pomoc.

– Twoje podanie o pożyczkę zostało odrzucone...

– Myślałam, że ty będziesz dla nas ratunkiem.

Spojrzał na nią ironicznie.

– Nieźle sobie radzisz, wodząc mnie za nos.

– Nie zasługuję na takie traktowanie – powiedziała z cieniem smutku w niebieskich oczach.

– Tu pocałunek, tam jeszcze co innego – jego słowa zabrzmiały tak, jakby to wszystko było przez nią wyreżyserowane. – Gdybym nie robił tego dla dziadka, być może wcześniej zastanowiłbym się, kto i kiedy naszkicował tę mapę.

Oszołomiona patrzyła na niego. Jak mógł myśleć, że zdolna była do takiego oszustwa, po tym wszystkim co przeżyła... Przeszłość i terażniejszość znowu połączyły się w jedno. Coś w niej nagle pękło.

– Niech cię diabli, Larry Fletcher! – odwróciła się i na oślep, pięściami, zaczęła okładać twarz Chance’a. To była jej reakcja na ciosy, które otrzymała. – Gdybyś do tej pory żył, sama bym cię zabiła.

Ale to był tylko Chance, na którego ciele pozostały ciemnoczerwone ślady jej furii. Najpierw podniósł na nią rękę, ale natychmiast ją opuścił z niejasnym poczuciem winy i zażenowania. Zawołał do niej, już z półki narzędziowej:

– Idź, Joni, do domu, zanim zranię cię bardziej, niż zrobił to Larry.

Niestety nie wiedział, że już to zrobił.

8.

Świt 4 lipca zapowiadał piękny, bezwietrzny dzień. Joni spędziła większą część ranka przygotowując prowiant na piknikową kolację, która odbędzie się zaraz po paradzie, a poprzedzi ją pokaz sztucznych ogni. Upiekła kurczaka, tak jak lubił dziadek, z mnóstwem brązowej, chrupiącej skórki, ugotowała kilkanaście jajek i upiekła wspaniały placek na deser. Następnie wyszła do ogródka, by zebrać trochę dojrzałych pomidorów. Wraz z kanapkami grubo posmarowanymi masłem, które już przygotowała, pomidory stanowić będą znakomite uzupełnienie posiłku. Patrząc na swe plony miała uczucie ogromnej satysfakcji. Następnej wiosny planowała rozszerzyć powierzchnię upraw oraz zająć się innymi gatunkami warzyw.

Makler z Oklahoma City powiedział jej, że ostatnio rośnie zainteresowanie takimi warzywami, jak szparagi, buraki, brokuły, szpinak... Możliwości zbytu były ogromne. To już nie chodziło o takie rolnictwo, jakie znał dziadek. Odpowiednio zintensyfikowana i unowocześniona hodowla warzyw mogła powiększyć dochody farmy, a nawet stać się źródłem utrzymania dla całej rodziny.

Monotonne dźwięki, dochodzące od strony szybu, przypominały jej o poważnym problemie, który musi rozwiązać.

Od czasu, gdy go spoliczkowała, Chance ani nie zadzwonił, ani nie przyszedł do nich do domu. Przypuszczała, że nie wybiera się na paradę. Musiała więc uprzedzić dziadka, że nie pojedą samochodem Chance'a. Prawdę mówiąc Joni nie żałowała, że

uderzyła Chance'a. Uważała, że całkowicie na to zasłużył, posądzając ją o fałszerstwo mapy. Martwiła się tylko, że sprawi przykrość dziadkowi.

Gdy sięgała, aby zerwać kolejny pomidor, usłyszała dzwonek na ganku. Jeden dźwięk oznaczał, że dziadek chce z nią porozmawiać, lecz nie jest to pilne. Jeżeli dzwonek zadzwieczał kilkakrotnie, znaczyło, że ma kłopoty z oddychaniem i powinna szybko biec mu na ratunek. Uzgodnili ten system, ponieważ głos dziadka był zbyt słaby, aby przedrzeć się przez dźwięki dochodzące z szybu.

Usłyszawszy umówiony sygnał, Joni szybko pobiegła do domu.

– Przed chwilą dzwonił Chance – powiedział rozpromieniony dziadek.

– Czego chciał? – Joni próbowała nadać swemu głosowi pozory obojętności, co zdecydowanie się jej nie udawało.

– Chciał wiedzieć, o której godzinie rozpoczyna się parada.

Chwyliła się balustrady ganku, aby nie upaść.

– I..?

– Gdy mu powiedziałem, że o trzeciej, uzgodniliśmy, że przyjedzie po nas o drugiej.

Serce Joni biło jak oszałałe. Była szczęśliwa, że jednak zatroszczył się o nich. Wzięła dziadka pod rękę i poprowadziła w kierunku drzwi.

– Musimy się pospieszyć. Czas ucieka!

Joni podała dziadkowi lekki posiłek, następnie zaprowadziła go do łazienki pod prysznic i pomogła się umyć. Zdecydował, że trochę się zdrzemnie, zanim założy garnitur, więc miała trochę czasu dla siebie. Wzięła kąpiel, umyła głowę i ubrała się.

Byli gotowi i czekali już, gdy Chance zajechał przed dom na kilka minut przed drugą.

Wyglądał niezwykle atrakcyjnie w jasnych, starannie wyprasowanych spodniach, zielonej koszuli polo z rozpiętym fantazyjnie kołnierzykiem i wspaniałej, jedwabnej marynarce. Joni na jego widok zupełnie straciła głowę.

– Witaj – powiedziała nieśmiało, żałując, że na powitanie nic

mądrzejszego nie przyszło jej do głowy.

– Witaj – odpowiedział i uśmiechnął się, patrząc na nią z przyjemnością.

Joni, korzystając z pozwolenia dziadka, znowu sięgnęła do cedrowej skrzyni na poddaszu. Sukienka babci z delikatnego szyfonu w kolorze kości słoniowej, ozdobiona mnóstwem koronek, wymagała jedynie kilku drobnych poprawek w staniku, aby leżała na Joni jak ulał. Na nogach miała wspaniałe, harmonizujące z sukienką pończochy, tak delikatne, jak nić pajęczna oraz pantofelki na niewysokim obcasie, które kupiła kilka lat temu.

Ale to, co najbardziej zaintrygowało Chance'a, to brak obrączki na lewej ręce. Szybko przeniósł wzrok na prawą, gdzie obrączka znalazła właściwe dla niej miejsce.

Gdy napotkał jej wzrok, zapragnął pogrążyć się w otchłani jej oczu.

– Wiele przeszałeś, kochanie – sposób w jaki to powiedział wcale nie znaczył, że już osiągnął swój cel.

– Potrzebuję więcej czasu – wyszeptała niemal błagalnym głosem.

Duży ścienny zegar wybił drugą.

– Jeżeli się wreszcie nie ruszymy – ponaglił dziadek, wychodząc z salonu – ubrany w jasnoniebieską, jedwabną marynarkę i stary słomkowy kapelusz – zacznę kichać od tego kurzu.

Chance usadowił dziadka w samochodzie i wstawił koszyk z jedzeniem do bagażnika, a Joni pobiegła po transparenty, które miała zamiar zademonstrować podczas parady.

– Chciałam przymocować je do drzwi mojej ciężarówki, ale teraz, gdy będziemy jechać kabrioletem, ja i dziadek możemy je po prostu trzymać wysoko w górze.

Chance'owi zdawało się, że coraz bardziej rozumie Joni, gdy przeczytał, co wypisała czerwonymi i niebieskimi literami na białym tle.

Pierwszy transparent głosił:

DOPÓKI MAMY CHOĆ JEDNO ZIARENKO, BĘDIEMY UPRAWIAĆ ZIEMIĘ

Drugi oświadczał:

PRACY NA ROLI ODDAMY WSZYSTKIE SWE SIŁY

– To są hasła najbardziej tu popularne i cenione – wyjaśniła Joni, obawiając się, że dla Chance’a mogą wydać się zbyt banalne.

– Myślę, że dla twoich rąk znalazłoby się dużo znacznie ciekawszych zajęć, niż wymachiwanie transparentami. – Ton jego wypowiedzi był na tyle wymowny, że Joni nie miała żadnych wątpliwości, o czym myśli. – Idź i przynieś taśmę, żebyśmy mogli dobrze umocować te hasła.

– Ależ twoja karoseria...

– Ślady po taśmie zmyją się bez problemu.

Przykleili hasła na drzwiach, z jednej i z drugiej strony kabrioletu i następnie wsiedli do samochodu. Chance polecił dziadkowi trzymać mocno kapelusz, no i wreszcie ruszyli.

Dziadek został wybrany przez komitet pochodu Wielkim Mistrzem Ceremonii, ponieważ był najstarszym i bardzo popularnym mieszkańcem Okręgu Redemption.

Chance prowadził swego thunderbirda bezpośrednio przed długim, czarnym lincolnem burmistrza i tuż za orkiestrą szkoły wyższej. Żona burmistrza wzniosła w górę batutę, zespół zaintonował Yankee Doodle Boy i parada ruszyła, posuwając się wzdłuż ulicy Main Street, zupełnie jak na obrazie Normana Rockwella.

W całych Stanach Zjednoczonych ludzie uroczyście obchodzili święto narodzin niepodległości. Weterani maszerowali z flagami, mając wysoko uniesione głowy. Dalej szli kucharze w śmiesznych kapeluszach i fartuchach z rusztami w rękach. Ludzie gromadzili się na dorocznych rodzinnych zjazdach. Nigdzie na kuli ziemskiej żar wolności nie płonął goręcej niż w Ameryce w dniu upamiętniającym ogłoszenie Karty Niepodległości Stanów Zjednoczonych. Oczywiście farmerzy mieli swoje problemy. Oprócz kapryśnej pogody najwięcej kłopotów sprawiało im ostatnio zjawisko nadprodukcji żywności, która nie mogła znaleźć

zbytu ani w kraju, ani poza jego granicami. W konsekwencji nastąpił spadek cen na produkty rolne, obniżenie wartości ziemi oraz lawinowo rosły długi. Liczne gospodarstwa podupadały i ulegały likwidacji. Farmerzy nie poddawali się jednak, walcząc o przetrwanie za wszelką cenę. Raz w roku, w Dniu Niepodległości, obchodzonym jako święto narodowe, chcieli zapomnieć o swych kłopotach i uwierzyć, że żyją w najwspanialszym na naszej planecie kraju.

Sposób, w jaki dziadek wymachiwał kapeluszem, sugerowałby, że ubiega się o jakieś ważne stanowisko. Nikt nie reagował na jego pozdrowienia, ponieważ wszyscy byli uczestnikami pochodu. To go jednak nie martwiło, po prostu machał do idących za nim.

Zespół szkoły wyższej zakończył pieśń George'a M. Cohana, uczestnicy pochodu skręcili do parku i zaczęli się rozchodzić. Kilkanaście osób zatrzymało się, aby pogratulować dziadkowi dobrze spełnionego obowiązku, a wielu z nich bardzo przychylnie wypowiadało się o transparentach Joni.

Chance zaparkował samochód w cieniu dużego krzewu bawełny i pomógł staruszkowi ulokować się przy piknikowym stole. Joni wyjęła z bagażnika koszyk z jedzeniem. Zobaczyła doktora Rayburna, pomachała w jego kierunku i zaprosiła go na kolację.

– Czy jesteś pewna, że wystarczy dla nas wszystkich? – doktor z niepokojem spojrzał na pojemniki z jedzeniem.

– Z pewnością.

– Wiesz jaka jest Joni – dodał dziadek uspokajająco. – Zawsze ugotuje tyle, że wystarczy dla całej armii.

Doktor Rayburn włożył kciuki za jasnoczerwone szelki podtrzymujące jego białe, wymiętoszone spodnie.

– W takim razie z przyjemnością skorzystam z zaproszenia.

Kolacja została ustalona na godzinę szóstą, a więc pozostały dwie godziny na zabawę. Orkiestra zaczęła grać The Star-Spangled Banner. Wszyscy wstali, śpiewając. Następnie burmistrz wygłosił długą mowę, jak zwykle i jak zwykle nikt jej nie słuchał. W końcu rozpoczęły się gry i zabawy zręcznościowe. Słońce

wciąż jeszcze mocno przypiekało i Chance udał się w poszukiwaniu czegoś zimnego do picia. Joni dostrzegła siedzącą w pobliżu Lorette West i podeszła do niej.

– Kolejny krok do przodu – powiedziała Loretta, gdy zauważyła brak obrączki na lewej ręce Joni.

– Było już ich więcej – Joni poprawiła przyjaciółkę i opowiedziała jej o wyprawie na platformę, pomijając jednak kłótnię z Chance'em.

– Pokonałaś więc strach i udało się.

– Jestem tym ogromnie zaskoczona.

Loretta spojrzała na Chance'a, który wyraźnie wyróżniał się wzrostem wśród mężczyzn zgromadzonych przy beczce z piwem.

– Larry ustępował Chance'owi pod każdym względem.

Joni ze zdziwieniem spojrzała na przyjaciółkę.

– Nie rozumiem.

– Och, Joni, nie zwykłam mówić źle o zmarłych, lecz to przecież prawda, że Larry jeszcze na długo przed śmiercią, pozbawił twoje oczy iskry radości, a usta uśmiechu.

– Czułam się winna, że nie mogłam mu dać szczęścia – Joni urwała źdźbło trawy i delikatnie rozdzieliła je paznokciem. – Niestety wciąż tak to odczuwam.

– Niektórzy ludzie rodzą się od razu nieszczęśliwi. – Odkryte ramiona i prosta, obcisła spódnica czerwonej, skórzanej sukienki, znakomicie prezentowały kształty Loretty. Przesunęła nogi, zmieniając pozycję na wygodniejszą. – Mają to zakodowane w swoich genach.

– Przyznaję, że to bardzo interesująca hipoteza.

Wzrok Loretty pobiegł w kierunku stołu.

– Spójrz na swego dziadka.

Uśmiech pojawił się na ustach Joni, gdy zobaczyła staruszka, grającego zawzięcie w karty z doktorem Rayburnem.

– On jest naprawdę wspaniały, nieprawdaż?

– Jeżeli ktoś miał kiedykolwiek powód, aby przystawić pistolet do własnej głowy, to na pewno on.

– Pamiętam, jak opowiadał, iż często nie miał pieniędzy, że

groziła mu ruina, ale nigdy się nie poddawał.

– Jak myślisz, dlaczego on i Larry byli tak niepodobni do siebie?

– Myślę, że to kwestia zdecydowanie różnych charakterów.

Loretta uśmiechnęła się.

– Może masz rację – powiedziała w zamyśleniu. Od pewnego czasu miała nowego chłopaka, lecz nie chciała zdradzić jego nazwiska.

– Ostatnio nie dopisuje mi szczęście. Nie chcę więc mówić zbyt wiele, aby nie zapeszyć.

– Mam nadzieję, że jest wolny – Joni przypomniała sobie rzekomo rozwiedzionego kierowcę ciężarówki. Pewnego wiosennego dnia jego żona z trójką dzieci zjawiała się w domu Loretty. Jak się później okazało, oszukanych przez niego kobiet było znacznie więcej.

– Tym razem jestem absolutnie o tym przekonana – żarliwie zapewniła Loretta.

Joni, zadając przyjaciółce serię podchwytliwych pytań, usiłowała dowiedzieć się o tym mężczyźnie jak najwięcej. Jednak, gdy odezwał się piknikowy gong, wzywający na posiłek, Joni wiedziała dokładnie tyle samo, co na początku rozmowy.

– Mam nadzieję, że w końcu się dowiem, kim jest ten twój ukochany – powiedziała Joni, żegnając się z przyjaciółką.

– Będiesz pierwszą osobą, której o tym powiem – obiecała Loretta.

Joni wyjęła z koszyka półmisek z pieczonym kurczakiem iomalże go nie upuściła, gdy Chance, stojąc tuż za nią, delikatnie zaczął muskać wargami jej szyję, zupełnie nie krępując się obecnością dziadka. Opróżniła koszyk z jego zawartości. Odwracając się zauważyła, że jest całkowicie uwięziona między stołem a barczystą postacią Chance'a.

– Na miłość boską, czyżbyś się upił?

– Nie, proszę pani – wręczył jej papierowy kubek i Joni sprawdziła jego zawartość.

– Lemoniada! – wykrzyknęła zaskoczona.

– Zgadza się – potwierdził Chance. – Chcę być dzisiejszej nocy całkowicie świadomy tego, co robię.

Właśnie w tej chwili pastor poprosił o pochylenie głów, co Joni uczyniła wyjątkowo skwapliwie. Zamykając oczy, mocno zacisnęła powieki, żarliwie modląc się o wskazówkę, jak ma postąpić.

– Amen – chórem odpowiedzieli zebrani wierni i usiedli przy stołach, rozpoczynając posiłek.

– Czy mogę prosić o pomidory? – powiedział doktor Rayburn, gdy już wszystkie inne produkty miał na talerzu.

Dziadek, wskazując na Chance’a idealnie ogryzioną kością kurczaka, zapytał:

– Czy wiesz, jakie są dwie rzeczy, których nie kupisz za pieniądze?

Chance uśmiechnął się, oczekując na żart.

– Chyba nie.

Dziadek spojrział na Joni, a następnie na Chance’a, tak jakby w duchu ich błogosławił.

– Prawdziwa miłość i pomidory z własnego ogrodu

– Jeszcze nigdy o tym nie słyszałem – powiedział doktor Rayburn, sięgając po kolejną kanapkę z masłem.

Chance zauważył, że Joni więcej pije niż je. Położył więc na jej talerzu ugotowane jajko.

– Nie wolno ci tracić sił – przypomniał. Joni doskonale wiedziała, o co mu chodzi. – Podaj mi kurczaka, proszę.

Jeżeli jednak sądziła, że przynajmniej w czasie kolacji Chance zostawi ją w spokoju, myliła się bardzo.

W czasie posiłku Chance ustawicznie szukał kontaktu z jej ciałem. Ich nogi ocierały się, gdy sięgał po solniczkę, jego palce muskały jej delikatną dłoń, gdy coś jej podawał. Zanim skończyli jeść, ciało Joni było już w pełni przygotowane na odbieranie wciąż jeszcze ukrytych bodźców erotycznych.

Wyczerpanie z powodu przeżytych emocji dosięgło również dziadka. Doktor Rayburn zaofiarował się podwieźć go do domu i pomóc położyć się spać. Joni zrewanżowała się doktorowi resztą

wspaniałego ciasta.

– Dziadek wydawał się być dzisiaj znacznie zdrowszy niż wtedy, gdy go ostatnio widziałem – zauważył Chance, gdy tamci już odeszli.

– Nie spodziewaj się, że ta poprawa długo potrwa – głos Joni zdrzął, gdy wyjaśniała, że doktor Rayburn ostrzegwał ją ostatnio, iż stare serce nie wytrzyma już zbyt wielu ataków kaszlu.

Chance objął ją mocno. Zagłębiając twarz w tej nieprawdopodobnej masie włosów, spadających kaskadą po plecach, powiedział:

– Płacz, jeżeli ci to pomoże, malutka.

Joni ukryła policzek w ciepłym zagłębieniu jego szerokiego ramienia, lecz łzy, które miały przynieść jej ulgę, nie napływały. Przez jakiś czas stali tak w ciszy, mocno objęci.

– Winna ci jestem przeprosiny – wyszeptła w końcu, tuląc twarz do jego muskularnej piersi.

– Za co? – spytał zmieszany.

– Za to, co powiedziałam, gdy cię uderzyłam.

– Ale nie za uderzenie?

– Nie – podniosła głowę i spotkała jego łagodne, zdziwione oczy. – Zasłużyłeś na to.

– Chyba tak – przyznał ze smutnym uśmiechem. Zmrok powoli ogarniał park, gdy wypuścił ją z objęć. Zaczęli sprzątać ze stołu. Joni spakowała koszyk i Chance włożył go do bagażnika. Następnie wyjął miękki, niebieski koc, który przywiózł ze sobą i rozłożył pod delikatnymi gałęziami krzewu bawełny i usiadł na nim wraz z Joni. Pokazy sztucznych ogni miały się rozpocząć, gdy będzie już zupełnie ciemno. Inni także porozkładali koce na trawie w oczekiwaniu na dalszą część programu. Matki siedziały kołysząc rozkapryszone dzieci. Ojcowie nawoływali starsze pociechy, aby przyłączyły się do rodzinnego koła. Młode pary obejmowały się, korzystając z osłony ciemności.

– Nie chciałaś mieć dzieci, jak byłaś mężatką?

Chance uśmiechnął się, gdy mały, urwisowaty chłopczyk pociągnął za warkoczyk śliczną dziewczynkę, siedzącą na

sąsiednim kocu. Scena ta przypomniała mu własne dzieciństwo.

– Myśleliśmy o tym – Joni zauważyła cień mężczyzny na kocu Loretty. Wyglądał znajomo, lecz nie mogła rozróżnić twarzy w szybko gęstniejących ciemnościach. Z całego serca życzyła swej przyjaciółce szczęścia.

– Ale? – delikatnie ponaglił ją, przesuwając rękę w górę jej szczupłych pleców pod gęste, rude włosy.

– Nigdy nie zaszczyliśmy dalej – nie chciała przyznać, że w tym bezsensownym małżeństwie dziecko nie byłoby szczęśliwe.

– Nigdy? – zapytał dokuczliwie, próbując obrócić w żart ten zbyt osobisty temat, który nieopatrznie poruszył. – Wiesz o co mi chodzi – odpowiedział z uśmiechem.

Nagle ktoś zaczął grać na skrzypcach, ktoś inny na gitarze i wkrótce dźwięki Old George Gans wypełniły ciszę. To była muzyka szkocka, która przywędrowała tu zza oceanu wraz z emigrantami, aż w końcu osiedliła się wraz z nimi w Redemption, Oklahoma. Wszyscy włączyli się do śpiewu Bluetail Fly i Fre're Jacques, aż w końcu jeden z uczestników pikniku zaintonował Red River Valley.

*W tej dolinie, z której pochodzisz
Będę tęsknić za twymi jasnymi oczami i uśmiechem...*

Chance delikatnie trzymał rękę na szyi Joni i śpiewał wraz ze wszystkimi. Jej dźwięczny głos doskonale współbrzmiał z jego czystym, donośnym barytonem.

*Chodź, usiądź przy mnie, jeśli mnie kochasz.
Nie śpiesz się z ofiarowaniem mi adieu.
Zapamiętaj Dolinę Czerwonej Rzeki.
I dziewczynę, która tak prawdziwie cię kochała.*

Poświata księżycy przebijała przez gałęzie krzaku bawełny, oświetliła srebrzyście twarz Chance'a z wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi. Joni czuła jego zapach i widziała

pragnienie w jego oczach. Zdała sobie sprawę, że nie może się z nim rozstać, zanim nie udowodni, jak bardzo go kocha.

– Chodźmy do domu – czy to były jej czy jego słowa, nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ obydwójce chcieli tego samego.

Wstali i zwinęli koc, dotykając się palcami przy składaniu jego brzegów. Przytuleni podeszli do samochodu. Otoczył ją ramieniem i przyglądał się jej twarzy. Zrozumiał, że musi jej to powiedzieć.

– Wiesz, że wyjadę, gdy skończę z szybem?

Joni poczuła ścisk w gardle. Wiedziała, że jakakolwiek próba zatrzymania go, równa się próbie schwywania wiatru.

– Kiedy to będzie?

Gdyby się teraz wycofała, nigdy by sobie nie darował, że zaczął tę rozmowę. Jednak musiał jej odpowiedzieć uczciwie.

– Za kilka dni, najwyżej za tydzień.

Jednak jej serce, niepomne na te okrutne słowa, już za nią zdecydowało.

– Więc zrobimy dobry użytek z czasu, który nam pozostał.

9.

Dziadek leżał na sosie, zaś u jego boku czuwało wierne psisko, gdy Joni i Chance przyjechali do domu. Podniósł czarny nos na znak powitania, gdy weszli na palcach do jadalni. Natychmiast go jednak ukrył między łapami, gdy równie cicho wyszli z pokoju.

Chance zgasił światło na ganku, Joni w hallu, zostało tylko światło księżycy, sączące się przez szpary w oknach.

Zdenerwowana, wytarła wilgotne ręce o szyfonową spódnicę i próbowała coś powiedzieć, coś mądrego w stylu: „Mój czy twój pokój?” Jednak nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

Wiedział, że to była dla niej trudna decyzja i postanowił jej pomóc. Biorąc ją w objęcia, powiedział łagodnie:

– Chodźmy na górę.

Objęła go za szyję.

– Przepraszam, trochę czasu upłynęło – szepnęła wtulona w jego pierś.

– Ja mogę to samo powiedzieć – przyznał. Myśl o jej nagości, którą nakryje własnym ciałem, przyprawiła go o zawrót głowy, kiedy sprężystym krokiem wchodził po schodach.

Joni spojrzała głęboko w te niesamowicie rozżarzone, zielone oczy. Czy będzie miała odwagę zapytać? Zdecydowała się.

– Jak dawno?

– Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie.

– I tak, i nie.

Chance przypomniał sobie kobiety, które znał wcześniej, te, które niczego od niego nie wymagały, nawet szczerości. Jednak

kobieta, którą w tej chwili trzymał w ramionach, zasługiwała na znacznie więcej.

– Od czasu, gdy cię poznałem, nie było nikogo innego.

Joni przygryzła wargi. Uczucie ulgi zmieszało się nagle z głupią zazdrością o tamte kobiety, które, były przed nią.

– Dla mnie to już trzy lata.

Nienawidził siebie za to uczucie szczęścia, które go opanowało na myśl, że od czasu śmierci męża Joni do nikogo nie należała.

– Wygląda na to, że obydwójce mamy pewne zaległości do odrobienia – nie chcąc, aby dzisiejszej nocy jakiegokolwiek duchy weszły między nich, minął jej pokój, wybierając swój.

Zadrzała w jego giętkich ramionach, gdy powoli wchodzili do pokoju. Od samego początku czuła ten żar wydobywający się z ciała Chance'a. Teraz pragnęła jeszcze bardziej go podsycić.

Przyciągnął ją do siebie, przywierając do jej nóg, bioder, piersi swym rozgorączkowanym ciałem. Na początku chciał, by przełamała w sobie wszelkie opory, teraz pragnął, by płonęła namiętnością. Żadne z nich niczego już nie słyszało, gdy usta ich się złączyły. Również żadne z nich nie myślało o kartkach kalendarza i nieuchronnym rozstaniu. Zatracili poczucie czasu, gdy rozgorączkowanym, szalonym pocałunkiem przechodzili do aktu miłości.

Chance wyszukał guziki na plecach sukienki i zaczął je rozpinąć: jeden po drugim. Pomimo czterech lat małżeństwa, dla Joni było to zupełnie nowe przeżycie. Gdy przesunęła dłonie w kierunku jedwabnych klap jego marynarki, zauważyła ze zdumieniem, że jednocześnie dwie osoby mogą brać udział w tej ekscytującej grze. Nieważne, co się działo z resztą ich ciał, przez cały czas nie przerywali pocałunku. Nie zawsze było to możliwe. Śmieli się jak dzieci, gdy Joni, nie mogąc sobie poradzić ze zdjęciem Chance'owi koszuli polo, musiała rozerwać ich złączone pocałunkiem wargi.

Chance sięgnął, by zapalić lampkę przy łóżku, gdy Joni złapała go za rękę.

– Proszę... zostaw.

Oddech Chance'a był nierówny.

– Chcę cię zobaczyć – ujął jej nagie piersi silnymi dłońmi, przekonując się, że jest kobietą, jakiej zawsze pragnął.

Później, gdy światło już zostało zapalone, podziw dla jej ciała, widoczny w jego oczach, podziałął na nią bardziej niż dotyk jego rąk. Wszystkie wątpliwości rozwiały się nagle. Ciało Chance'a było giętkie, sprężyste i potężne emanującą z niego siłą, a jednocześnie szczupłe. Szyja i ramiona były tak delikatne jak wypolerowany brąz, jednak tętniące życiem i urzekające harmonią i pięknem. Zarost na jego torsie, tak kędzierzawy i miękki, łagodził ostrość wystających mięśni klatki piersiowej. Przesunęła się w kierunku jego jędrnego brzucha, aż znalazła się na wysokości bioder.

Zatrzymał jej ciekawą, żądną poznania rękę.

– Czyżbyś nigdy nie słyszała, co się dzieje z dziewczynkami, które igrają z ogniem?

Joni uśmiechnęła się, nie cofając dłoni.

– Smażą się w piekle.

Chance jęknął i przysunął się bliżej.

– A więc smaż się kochanie, smaż.

Joni dokładnie wykonała polecenie, podniecając jego żar zuchwałymi pieszczotami. Ogień, którego nigdy wcześniej nie zaznała, zaczął rozprzestrzeniać się gdzieś z głębi brzucha w dół jej nóg. Nagle znalazła się na łóżku wraz z Chance'em w ciasnym uścisku. Widziała, jak przyglądał się jej nagości z pożądaniem, które przepalało jej skórę.

Zgrubiałe od wiertniczych łańcuchów, lecz czułe na kobiece potrzeby palce przesuwały się wzdłuż jej drobnych piersi, delikatnego zarysu żeber, aż do nasady brzucha i linii ud. Usta Chance'a muskały jej skórę, całując każdy zakątek ciała. Miłosny akt dokonał się, gdy Chance objął ją z całych sił, nakrywając swym ciałem. Wykonywał rytmiczne ruchy bioder, patrząc w jej zamglone oczy.

– Szkoda, że nie byłeś pierwszy – wyszeptala.

– Tak mówisz, dopóki nie pojawi się ktoś nowy.

W geście protestu dotknęła jego ust, zamykając je pocałunkiem.

– Kocham cię, Chance.

– Ja też cię kocham, Joni – z zaskoczeniem stwierdził, że łatwo przyszło mu wypowiedzenie tych słów.

Usta ich splotły się w żarliwym pocałunku, podczas gdy ciała przeżywały kolejne, miłosne uniesienie. Znacznie później leżeli spleceni w miłosnym uścisku, tonąc w księżycowej poświacie, która skutecznie konkurowała z jutrzenką budzącego się dnia. Gwiazdy wciąż jeszcze błyskały gdzieś wysoko w górze. Nocne powietrze chłodziło ich rozgrzane ciała, przynosząc ukojenie. Zmęczeni zasnęli w swych objęciach.

Skrzypienie podłogi obudziło Chance'a. W pierwszej chwili wydawało mu się, że to wszystko to tylko sen. Uniósł głowę i spojrzał na poduszkę. Obok niego nie było Joni. Zauważył ją, nagą w świetle księżyca, sięgającą po sukienkę. Wtedy zdał sobie sprawę, że to jednak nie był sen.

– Joni?... – nie odpowiedziała.

Chance oparł się na łokciach i spojrzał na zegar. Była 2.30.

– Wiem, że lubisz porządek, ale to śmieszne.

Wzięła buty do ręki i bez słowa ruszyła w stronę drzwi. Wstał z łóżka i poszedł za nią. Nękały ją zmory nocne, może również była lunatyczką.

– No, Joni, chodź! – złapał ją za ramię, na tyle jednak delikatnie, aby jej nie zdenerwować. – Chodź z powrotem do...

– Zostaw mnie, Chance – jej niski, stłumiony głos, brzmiały jak ostrzeżenie, wykluczył możliwość, że była lunatyczką. Spojrzał na jej pochyloną głowę, rozpuszczone w nieładzie włosy i zacisnął palce na jej delikatnym ciele.

– Nie, dopóki mi nie powiesz o co chodzi!

– Wracam do mojego pokoju!

– Dlaczego?

– Miałaś rację, Chance – podniosła głowę i w tym momencie zauważył ślady łez na jej policzkach. – Nie mogę sobie z tym poradzić.

Przeklinając, puścił jej ramię, jednocześnie biorąc ją w objęcia, czując jej ból, tak jakby był jego własnym.

– Joni, Joni, nie płacz, proszę.

Zaszlochała.

– Myślałam, że mogę przez to wszystko przejść... przez miłość, rozstanie... ale nie mogę.

Czuł, jak drżała, przymknął oczy.

– Wrócę za miesiąc, góra sześć tygodni.

– A później znowu wyjedziesz.

– W ten sposób zarabiam na życie.

Bez powodu, nagle wyrwała się z jego uścisku.

– A co ja mam robić, gdy ty bez żadnych zobowiązań, wolny, używać będziesz życia w całym stanie Oklahoma?

– Jeżeli tak cholernie boisz się tego, co będę robił, gdy mnie już tu nie będzie, dlaczego po prostu nie możesz wyjść za mnie zanim wyjadę? – świadomość od dawna już istniejącego uczucia podyktowała mu te słowa.

– Wyjść za ciebie?

– Tak, wyjść za mnie.

Z wściekłością uderzyła go w ramię.

– Co to za propozycja?

W zdenerwowaniu przeczesał ręką włosy.

– Propozycja, którą mężczyzna składa ukochanej kobiecie, gdy w środku nocy, paradując nago po pokoju, zawzięcie się kłóć.

Stali tak blisko siebie, że postać Chance'a rzucała cień na twarz Joni. Czuł jej żarliwy oddech na nagiej piersi i był pewien, że osiągnięcie równowagi jest dla niej nie tylko kwestią czasu. Tymczasem Joni przeprowadzała własny rachunek sumienia. Bez wątpienia kochała go. Skłamałaby, gdyby powiedziała, że nigdy nie marzyła, by go poślubić. Nie widziała jednak przyszłości dla nich. Nie mogła pogodzić się z kolejnym rozstaniem. Powiedziała więc:

– Nie chcę być żoną jedynie od czasu do czasu, nie podoba mi się witanie męża jednego dnia po to, żeby następnego już go żegnać.

– Pracę biurową mogę równie dobrze wykonywać w domu – argumentował. – Więc spędzałbym z tobą więcej czasu niż myślisz.

– W najlepszym przypadku połowę.

– Niech będzie połowę.

Otworzyła drzwi i ruszyła przez korytarz kręcąc głową.

– Kocham cię, Chance, lecz nie widzę siebie w takim małżeństwie.

– Bądź rozsądna – poszedł za nią do pokoju, czując się tak, jakby walczył o swoje życie. I właściwie to tak chyba było. – Pożegnania mają swoje dobre strony, ponieważ po nich następują radosne przywitania..

Zapaliła lampkę przy łóżku, ani trochę nie zakłopotana swoją nagością. Było to w jej przypadku czymś zupełnie niezwykłym.

– A jeżeli coś się wydarzy i będę cię potrzebować? – podeszła do szafy, aby wziąć ubranie. Podążył za nią, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jego oczy nasycą się jej widokiem.

– Nigdy nie będę dalej, niż o jeden dzień drogi stąd.

– Dużo się może wydarzyć w ciągu jednego dnia.

– Kupię samolot.

Postawiła buty na półce i sięgnęła po wieszak na sukienkę. Czy to ten sam mężczyzna, który targował się ze mną o 20 tysięcy dolarów?

– Co to jest, do diabła? – przerwał jej chłodno. Joni odwróciła się wystarczająco szybko, aby zauważyć wyraz wściekłości na jego twarzy. Zmieszana spytała:

– Co takiego?

Wskazał na ubrania wiszące w jej szafie.

– To!

Spojrzała na spodnie i koszule Larry’ego, wciąż wiszące przy jej spódnicach i sukienkach, i poczuła jak ugięły się pod nią nogi.

– Są już tu od tak dawna...

– A ja cały czas sądziłem, że to Larry nie daje ci spokoju – jego szorstkie słowa zabrzmiały jak wyrok śmierci.

Spojrzała na niego udręczonymi oczami.

- Zupełnie zapomniałam, że one...
- Prawda jest taka, że to ty nie pozwalasz mu leżeć w spokoju. Kasztanowe włosy rozwiewały się we wszystkie strony, gdy kręciła głową w oszalałym zaprzeczeniu.
- To nie...
- Masz tu nawet specjalną koszulę na każdy dzień tygodnia.
- Dziadek trzyma babci...
- W cedrowej skrzyni na strychu, a nie swojej szafie na ubrania.
- Proszę, pozwól mi wyjaś...
- Czyny mówią same za siebie. Słowa nie są potrzebne, Joni. Wyciągnęła ręce, błagając, aby ją zrozumiał.
- Często budziłam się w nocy rozmyślając, co takiego uczyniłam, że stał się tak...
- Odwrócił się gwałtownie i szybko wyszedł z pokoju.
- Kocham cię... – wyszeptwała z rozpaczą. Zatrzymał się w drzwiach i spojrzał przez ramię z bólem w oczach.
- To nie jest prawdziwa miłość.

Tymczasem nastąpiły dalsze komplikacje. Gdy Joni wstała, tuż po wschodzie słońca, z przerażeniem zauważyła, że stopy dziadka opuchły do tego stopnia, iż nie mógł wcisnąć na nie żadnego obuwia.

- Czy jego ręce i twarz również są obrzmiałe? – zapytał doktor Rayburn, gdy Joni do niego zadzwoniła.
- Niestety, tak, ale pamiętaj, że wczoraj jadł pomidory z dużą ilością soli. – Przyciskając słuchawkę ramieniem, Joni stała przy kuchennej ladzie, przygotowując śniadanie dla dziadka.
- A co z jego oddechem?
- Gdy rano weszłam do dziadka, jego płuca pracowały tak, jak pompa ssąca.
- Czy otrzymał lekarstwo?
- Z samego, rana – posmarowała dziadkowi tost i przekroiła go na połowę.
- Odwiedzę was po drodze do biura – powiedział doktor

Rayburn. – Tymczasem niech pozostanie w łóżku.

Dziadek nie był zbyt rozmowny, gdy Joni wniosła do jadalni tacę ze śniadaniem. Wiedziała, że staruszek nie czuje się dobrze. Nawet nie zapytał o Chance'a, chociaż musiał słyszeć stłumiony odgłos zamykanych drzwi frontowych.

To, że Chance nie trzasnął drzwiami, lecz łagodnie je zamknął, czyniło jego odejście bardziej prawdopodobnym. Joni nie lubiła ciszy, instynktownie odczuwała przed nią lęk. Larry był typem cichym i zamkniętym w sobie. Gdy wyszła za niego za mąż, wydawało się jej, że cechy te są oznaką siły. Dopiero teraz, po trzech latach od jego pogrzebu, zrozumiała, że były to jednak słabe punkty jego charakteru. Nigdy nie uzewnętrzniał swych uczuć. Nawet w czasie zalotów i pierwszych lat małżeństwa musiała się zadawałać rzadkimi „kocham cię”. Kiedy długi ich wciąż rosły, stawali się sobie coraz bardziej obcy.

Larry unikał posiłków, twierdząc, że nie jest głodny. Często przesiadywał samotnie w salonie, bezmyślnie gapiąc się w ścianę. Gdy usiłowała wyrwać go ze stanu apatii, wstawał i szedł na górę, do łóżka, odwracając się do niej plecami. Błagała, żeby z nią porozmawiał, żeby spotkał się z adwokatem, lecz on na nic nie reagował. Wydawał się nie rozumieć, że to nie wstyd mieć problemy. Wstydem jest to, że nie dąży się do ich rozwiązania. Nawet dziadek, który nigdy nie wtrącał się do ich małżeństwa, uznał, że powinien z Larrym porozmawiać. Próbował go przekonać, że nie powinien obciążać siebie całą winą za krach na farmie, lecz Larry nie chciał go w ogóle słuchać.

No i przyszedł ten fatalny dzień, gdy towarzystwo ubezpieczeniowe przysłało dokument o przejęciu ich majątku za długi. Larry poszedł do skrzynki pocztowej. Joni zobaczyła później zniszczone listy i rachunki, pochodzące z ich wiejskiej skrzynki pocztowej, porozrzucane wzdłuż drogi wiodącej do stodoły. Nie mogła odgadnąć, jakie myśli kłębiły się w jego głowie, gdy znalazł ten urzędowy papier. Winiła siebie za to, że była wtedy w pracy. Każdy odczuwałby podobnie, gdyby po powrocie z pracy zobaczył swego małżonka leżącego z kulą w

głowie i z pistoletem w ręku. Stała się dla siebie sędzią i ławą przysięgłych. Uznała, że ponosi moralną odpowiedzialność za ten dramat. Dopiero teraz, gdy poznała Chance'a, przekonała się, że nie jest winna tej zbrodni. Jeżeli Larry ją kochał, to jak ją mógł tak zostawić? Znalezienie odpowiedzi na to pytanie nie było łatwe, Joni zdała sobie sprawę, że Chance miał rację. Musiała przestać myśleć o przeszłości, grzebiąc ostatecznie poczucie winy w stosunku do Lanego.

Dziadek nie miał apetytu. Zjadł odrobinę jajka na miękko. Po zażyciu lekarstwa jego samopoczucie wyraźnie się poprawiło.

– Z kim rozmawiałaś przez telefon!

– Z doktorem Rayburnem. – Przesunęła zasłonę przy jego łóżku, wpuszczając do pokoju złote promienie słoneczne. – Niedługo się tu zjawi.

– Mam nadzieję, że znajdzie czas, by zagrać ze mną partyjkę.

Dziadek oddychał już trochę lepiej, lecz wciąż był opuchnięty. Joni przysunęła krzesło i usiadła w pobliżu sofy.

– Czy nigdy nie zrezygnujesz?

– Gdybym zrezygnował, czyż doprowadziłbym do postawienia szybu wiertniczego? – siedemdziesięcioletnie zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się jeszcze bardziej, gdy się uśmiechnął.

Przez okno jadalni Joni widziała ludzi pracujących przy szybie, lecz z tej odległości nie mogła powiedzieć, czy któryś z nich był Chance'em. Chyba nie.

– Taak... – dziadek umoczył róg tostów w kawie. – Z pewnością dużo możesz powiedzieć o mężczyznach, którzy tracą pieniądze w karty.

Spojrzała na niego wzrokiem, który mówił: w tych sprawach jesteś dla mnie niedościgłym mistrzem. Włożył do ust rozmoczony tost, przełknął go i mówił dalej.

– Potrafiący przegrywać robi to z klasą, po prostu z uśmiechem na ustach siada do rewanżu.

Joni przypomniała sobie, jak Chance po przegranej z dziadkiem, śmiejąc się, zawijał rękawy i wracał do gry.

– Natomiast ten, kto przegrywać nie potrafi – wzięł łyk kawy –

wściekły odchodzi od stołu i wyładowuje swą złość na innych.

Joni przypomniała sobie, jak któreś nocy Larry przyszedł do łóżka winiąc ją za to, że dziadek go ograł i odmówił dalszej gry.

– Wolę grać z tymi, którzy potrafią przegrywać – dziadek drżącą ręką odstawił filiżankę na spodek i zakaszał. – Natomiast bezwzględny jestem dla graczy słabych i bez klasy.

– Więc jedz, mniej mów, jeśli łaska. – Wiedziała, że chciał dobrze, ale nie poprawiło to jej nastroju. Zdała sobie nagle sprawę, ile czasu i energii niepotrzebnie zmarnowała obciążając siebie winą za tchórzowski czyn Larry’ego.

Dziadek zjadł jeszcze kawałek jajka i odłożył łyżkę z przepraszającym uśmiechem.

– Naprawdę, wcale nie jestem głodny, kochanie.

Joni ucałowała siwą głowę starca i zabrała tacę.

– Odpocznij trochę przed wizytą doktora Rayburna.

Wyrzuciła resztki jedzenia do miski psa i sprzątnęła kuchnię. Wszystkie te czynności wykonała jednak zupełnie automatycznie. Myślami była wciąż w sypialni z Chance’em. Dyskutowała z nim o propozycji małżeństwa i wciąż na nowo przeżywała moment, gdy znalazł ubrania Larry’ego w jej szafie. Zastanawiała się jakby się zachowała, gdyby tak Chance zażądał od niej, żeby pozostawiła farmę i pojechała z nim, albo jeszcze gorzej, gdyby odkryła w jego sypialni rzeczy innej kobiety.

Miarowe uderzenia wiertła, dochodzące z szybu naftowego, skłoniły ją do wyjścia na ganek. W poczuciu winy zwróciła oczy w kierunku szybu, nadaremnie wypatrując charakterystycznej sylwetki Chance’a. Wciąż widziała jego smutne oczy, gdy wczoraj zostawił ją w pokoju. Złożył u jej stóp gorącą miłość, a ona nie dała mu nic więcej prócz smutku i rozczarowania. Czyż nie lepiej mieć Chance’a w połowie, niż nie mieć go w ogóle? Czy mógłby jej wybaczyć samolubne zachowanie, podobne do zachowania Larry’ego?

W powietrzu było coś niedobrego, coś, co zatykało nozdrza i piekło w oczy. Joni, zajęta swymi myślami, nie czuła tego. Postanowiła, że gdy tylko przyjedzie doktor Rayburn, pobiegnie

do biura Chance'a i wszystko mu wyjaśni. Powie mu, że kocha go do tego stopnia, iż pozwoli mu odejść i będzie czekać na niego, aby go powitać.

Nagle potworne drgnienie wstrząsnęło ziemią i złowieszczy syk, dochodzący z szybu, zagłuszył wszystkie odgłosy, nawet rytmiczne uderzenia wiertła. Joni spojrzała w tamtym kierunku i zamarła. Zobaczyła, że dźwig dziwnie się zachowuje, pochylając się to w przód, to w tył, zupełnie jakby miał za chwilę runąć.

– Boże nie pozwól! – wykrzyknęła, widząc jak robotnicy, ratując życie, skaczą z dźwigu. Pomyślała, że jeśli cokolwiek złego przytrafi się Chance'owi, ona tego nie przeżyje. Poczula jak serce podchodzi jej do gardła. Wśród mężczyzn biegnących w poszukiwaniu schronienia nie widziała niestety Chance'a. Zupełnie nie myśląc o własnym bezpieczeństwie, pobiegła przez pola w kierunku szybu. W tym potwornym zamieszaniu nie usłyszała ataku kaszlu dziadka i nawet nie zauważyła samochodu doktora Rayburna zatrzymującego się na ścieżce. Myślała tylko o tym, by dotrzeć do Chance'a.

– To wybuch! – ktoś krzyknął poprzez wzmagający się huk.

– Uciekaj! – jakiś mężczyzna rozpaczliwie dawał jej znaki rękami, gdy ziemia wokół szybu wygięła się jak skóra na grzbiecie rozwścieczonego kota.

– Boże, proszę cię! – modliła się przez cały czas. – Nie pozwól mu umrzeć!

Jej modlitwy zostały wysłuchane, gdy tuż na skraju miejsca wierceń zderzyła się z wysokim, barczystym mężczyzną. Chance, pędząc w jej kierunku z ogromną szybkością, przewrócił ją na rozedrganą, twardą ziemię, przykrywając masywnym ciałem. Ładując na kamieniach Joni schwyciła ramionami szyję Chance'a, czując jakby nagle rozstała się pod nią ziemia. W powietrzu rozległ się huk podobny do wystrzału z tysiąca armat. Gdzieś głęboko nastąpił potężny wybuch, po którym z szybu wytrysnęła struga piachu i gliny, powodując wyrzucenie wysoko w górę rury wiertniczej. Joni z trudem łapała oddech, przyciskana przez Chance'a do ziemi. Kawałki skał i sypiące się ze wszystkich stron

kamienie raniły jej ręce. Chance trzymał Joni mocno, aż wybuch przeszedł w łagodne wstrząsy, a z głębi umęczonej ziemi nagle wytrysnęła... woda siarczana.

Nie zauważyli nawet, że ich marzenia o ropie okazały się tylko złudnym snem.

– Ty mała idiotko! – Chance podniósł głowę i krzyknął. – Po co tak biegłaś? Śmiertelnie mnie przeraziłaś.

– Myślałam... – Joni dotknęła drżącymi rękami jego policzków, szepcząc dziękczynne modlitwy, płynące z głębi serca.

– Czyż nie widziałaś, jak ci dawałem znaki?

Skinęła głową, cały czas dotykając opuszkami palców jego oczu, nosa, ust.

– Na miłość boską, mogłaś zginąć!

– Ty także...

Jego płonące, zielone oczy wyrażały wszystko, co przed chwilą przeżyli. Joni wciąż jeszcze leżała pod muskularnym ciałem Chance'a, a serce waliło jej jak młot przepelnione miłością do niego. Ich rozpalone ciała przyciągały się.

– Joni... – Chance...

Robotnicy biegiem wracali do szybu.

Chance mocno przycisnął swe usta do ust Joni. Odwzajemniła pocałunek z miłosnym oddaniem. Zapach siarki wypełnił powietrze. Odurzający, piżmowy zapach potu działał na Joni jak narkotyk. W takich okolicznościach zapomniał o wszystkim, nawet o żwirze boleśnie wbijającym się w plecy.

Rozszalały dźwięk dzwonka obiadowego, rozlegający się w oddali, rozdzielił ich w końcu. Doktor Rayburn stał na ganku i dzwonił z całym siłą.

– Dziadek! – Joni natychmiast zdała sobie sprawę, że wydarzyło się coś złego.

Chance poderwał się natychmiast i pomógł wstać Joni.

– Chodźmy! – powiedział trzymając ją mocno za rękę.

Biegli jak szaleni. Ciężko oddychali czując, jak obolałe są ich ciała. W pewnym momencie Joni potknęła się, ale Chance podtrzymał ją swym silnym ramieniem. Pędzili w stronę domu,

obawiając się najgorszego.

Doktor Rayburn otworzył przed nimi drzwi.

– Dziadek? – Joni drżała na całym ciele. Ramiona lekarza były opuszczone w akcie rezygnacji, gdy wprowadził ich do jadalni.

– On umiera, Joni...

– Jeżeli chcesz go odwiedzić do szpitala, poprowadzę – zaofiarował się Chance.

Joni pochyliła głowę, walcząc z pokusą złamania obietnicy danej dziadkowi. Dotrzymała jednak słowa.

– Dziadek chce umrzeć w domu.

Stary człowiek leżał na sofie z zamkniętymi oczami. Wyglądało na to, że kryzys już minął, tylko w płucach wciąż jeszcze trwała walka. Joni nic nie widziała poprzez palące łyzy, gdy uklękła i ujęła w dłonie jego kościste ręce.

– Dziadku?

– Joni? – uniósł ciężkie powieki. – Gdzie jest... Chance?

– Tutaj. – Chance przykucnęła przy Joni.

– Czy wpadliśmy... na ropę? – głos dziadka był tak słaby, że musieli pochylić się tuż nad nim, aby usłyszeć, co mówi.

Chance wiedział, że nie może powiedzieć prawdy. Szlachetne kłamstwo było w tej chwili w pełni usprawiedliwione.

– Właśnie wytrysnęła ropa.

Usta dziadka wykrzywił uśmiech i powieki nagle się zamknęły.

– Wytrysss...

Joni wydała zdławiony okrzyk. Poczwała, jak ręka dziadka bezwładnie. Uświadomiła sobie, że właśnie odszedł, pozostawiając na zawsze wszystkie swoje ziemskie cierpienia. Chciała go zawrócić z tej drogi, lecz zamiast tego przyłożyła wargi do jego ucha i szepnęła gule:

– Zawsze cię będę kochała, dziadku.

Chance próbował coś powiedzieć, lecz nie mógł wydobyć z siebie głosu. Spojrzał na dziadka, którego siła duchowa przetrwała w Joni i wyszeptał nieme pożegnanie.

Oboje pozostali przy łóżku dziadka, z głowami pochylonymi i złączonymi dłońmi, podczas gdy doktor Rayburn dzwonił do

zakładu pogrzebowego. Gdy zjawili się jego pracownicy, Chance pomógł ubrać dziadka w niebieski, jedwabny garnitur, czystą białą koszulę i krawat w delikatne paski.

W małej miejscowości wieści szybko się rozchodzą. Ludzie napływali tłumnie, cały dzień przynosząc jedzenie i składając kondolencje. Przed nadejściem nocy, kuchnia przypominała centrum opieki społecznej. Szarlotka i napój brzoskwinowy stały na ladzie wraz z puddingiem marchewkowym i borówkowym ciastem. Półmiski ze szpondrem wołowym, wędzoną szynką i upieczonym na złoto kurczakiem zapełniły cały stół. Garnek świeżej, zielonej fasoli z kawałkami bekonu, ustawiony na gazie, rozsiewał smakowite zapachy. Nawet gdy robotnicy z szybu najedli się do syta, pozostało jeszcze dużo jedzenia.

Joni podbiegła z pełnym półmiskiem do doktora Rayburna, który przyszedł do nich ponownie po zakończeniu obchodu w szpitalu, zachęcając go do jedzenia i pilnując, aby niczego mu nie brakowało.

Późnym wieczorem Chance odprowadził doktora do drzwi. Gdy wrócił do kuchni, nie zastał tam Joni. Znalazł ją w jadalni. Stała przy sofie przyglądając się wiernemu psu dziadka, który nie pozwolił się ruszyć z łóżka swego pana.

– Psy także cierpią – wyszeptała łamiącym się głosem i w tym momencie zdała sobie sprawę z pustki, w jakiej żyła przez ostatnie trzy lata.

Płakała za dziadkami, którzy wreszcie się połączyli, za rodzicami, których prawie nie знаła, a nawet za Larrym, który przecież tak boleśnie ją zawiódł.

Chance wziął ją na ręce i zaniósł do salonu. Usiadłszy w fotelu, trzymał ją jak dziecko w ramionach, pocieszał i tulił. Potem zaniósł ją do swej sypialni na górę. Miał ją całkowicie dla siebie, uwolnioną na zawsze od cieni przeszłości.

10.

*Delikatnie i czule Jezus wzywa.
Wzywa ciebie, mnie...*

Mieszkańcy Redemption wylegli tłumnie, by śpiewając pełnym głosem, połączyć dziadka Joni z jego dawno zmarłą, ukochaną żoną. Wszyscy obecni, zgromadziwszy się przy rodzinie zmarłego i przyozdobionej kwiatami urnie z jego prochami, żegnali jednego z najbardziej szanowanych obywateli doliny.

Zaśpiewali zgodnym chórem znaną od wielu lat pieśń.

*Wracaj do domu, wracaj.
Ty, tak znużony wracaj.*

Zmarły przez wszystkich, z wyjątkiem doktora Rayburna, zwany dziadkiem, wreszcie uwolniony został od smutku i cierpień, które towarzyszyły mu przez całe życie.

Chance stał przy boku Joni na zielonym wzgórzu cmentarza Redemption. Texowi powierzył zadanie zamknięcia szybu i demontażu urządzeń. Dopiero niedawno przekonał się, że jest on godnym zaufania pracownikiem i należy mu się awans na stanowisko kierownika. W ten sposób nagrodziłby dobrą pracę i zyskał sobie trochę więcej wolnego czasu, który mógłby spędzić z Joni. A przecież niedługo czeka ich miesiąc miodowy.

– Módlmy się... – zaintonował ksiądz, gdy ucichły ostatnie dźwięki ulubionego, starego hymnu dziadka.

Joni odgarnęła burzę kasztanowych włosów i pochyliła głowę. Całując ramię Chance'a, obejmujące jej kibić, przysunęła się szepcząc podziękowanie za jego stałą obecność i opiekę od czasu wybuchu. Nosiła teraz stale rozpuszczone włosy, jakby chciała zademonstrować swoje zwycięstwo nad przeszłością i jednocześnie sprawić radość mężczyźnie, który jej w tym trudnym zadaniu pomógł. Zdawała sobie jednak sprawę, że czeka ją jeszcze niejedna ciężka próba polegająca na umiejętności rezygnacji z siebie w myśl miłości do ukochanego. Gorąco modliła się do Boga o łaskę siły przed zbliżającym się rozstaniem z Chance'em.

– Amen – powiedział ksiądz, kończąc ceremonię pogrzebową. Żałobnicy mieli się na krótko ponownie zgromadzić w domu Joni. Kierując się teraz w stronę samochodów, przechodzili obok Chance'a i Joni, składając im kondolencje. Pierwszy podszedł doktor Rayburn. Joni nie była w stanie wyrazić wdzięczności za wszystko, co zrobił dla dziadka.

Rayburn uśmiechnął się.

– Dziadek był szczęściarzem, że miał ciebie.

– Tak samo jak ja mając dziadka, gdy zginęli moi rodzice.

Następnie uścisnęli sobie ręce doktor Rayburn i Chance.

– Dziadek miał o tobie bardzo dobre zdanie.

– Podobnie, jak ja o nim.

– Zadzwoń do mnie, gdy wrócisz, zagramy sobie partyjkę.

Chance z aprobatą skinął głową.

– Na pewno zadzwonię.

Następni w kolejce do złożenia kondolencji byli Tex i Skinny. Mieli na sobie swoje najlepsze ubrania, które tak bardzo różniły się od ich codziennego stroju. Obydwaj włożyli do kieszeni marynarki dziadka dwudziestopięciocentówki. Gdy odchodzili uśmiechając się, Joni pomyślała, że byli to gracze w dobrym stylu. Okoliczni farmerzy, burmistrz, nawet Jesse James ubrany, jak zwykle, w szary garnitur, wspominali dziadka.

W końcu z kondolencjami podeszła Loretta West z Simpem Creedem. Joni była ogromnie zaskoczona zmianą w wyglądzie przyjaciółki. Zastanawiała się jaki był tego powód. Loretta miała

na sobie skromną czarną sukienkę, która znakomicie pasowała do właściciela zakładu pogrzebowego – Simpa. Jej zazwyczaj swobodnie rozpuszczone platynowe włosy były spięte z tyłu w gładki kok. Nawet makijaż miała stonowany i bardzo dyskretny.

Mężczyźni ucieli sobie pogawędkę, a panie przeprowadziły między sobą dochodzenie.

– Jak zeście się poznali?

– Poprosiłam go do tańca w czasie zabawy na rozdrozu.

Joni strzeliła palcami, nagle sobie przypominając.

– To ten, który siedział z tobą na kocu podczas parady czwartego lipca?

Oczy Loretty zabłysły jak gwiazdy, gdy pokazała Joni swój czterokaratowy, zaręczynowy pierścionek. Joni i Chance, chcąc pożegnać się z dziadkiem w samotności, postanowili zatrzymać się jeszcze przy grobie, podczas gdy Loretta z Simpem ruszyli w dół wzgórza. Wiatr szeleścił wstęgami wieńców wokół mogiły. Joni wzięła do ręki czerwoną różę i położyła ją na urnie, podczas gdy Chance rozsypał nad nią garść czerwonej gliny, przyniesionej z szybu wiertniczego. Stali przez moment w milczeniu, składając hołd pamięci dziadka. Chance objął Joni ramieniem i nisko nachylając głowę powiedział:

– Tak bardzo cię kochał.

– Ciebie również – ukryła twarz w jego świeżo wykrochmalonej, białej koszuli.

Tuląc ją do siebie, Chance przeżywał śmierć dziadka tak samo mocno, jak ona.

– Lepiej już? – zapytał, gdy się trochę uspokoiła. Pociągając nosem kiwnęła głową.

– Chodźmy do domu.

– Muszę jeszcze coś załatwić.

Chance przyjrzał się jej zapłakanej twarzy.

– Chcesz, żebym z tobą poszedł?

Joni potrząsnęła przecząco głową.

– Muszę to zrobić sama.

Wiatr przyklejał czarną spódnicę do jej niezmiernie długich

nóg, gdy szła w kierunku mogiły Larry'ego. Ukłękawszy na trawie, zdjęła ze środkowego palca prawej ręki szczerozłotą obrączkę i położyła ją na brzegu płyty nagrobnej. Najwyższy czas, aby pozwoliła Larry'emu odejść w pokój. Gdy tak stała, zapominając o poczuciu winy i nagromadzonej przez lata złości, rozumiała, że to przeszłość kładła się cieniem na jej życiu. Przyszedł czas, aby ją ostatecznie pogrzebać.

Chance i Joni, objawszy się, wolno schodzili ze wzgórza. Nie znaleźli czarnego złota, lecz dzięki swoim dziadkom odkryli coś o wiele bardziej cennego – miłość.

Dwie puszki skondensowanego, słodzonego mleka, dwie łyżki wanilii, ćwierć litra pełnego mleka, pół litra mieszanki portem z piwem, pół litra bitej śmietanki...

– Co robisz?

– Lody.

Chance oparł się o kuchenną ladę i wodził oczami po tych niesamowicie długich nogach i skąpo przykrytej pupie. Powinien był wyjechać już tydzień temu, lecz wciąż znajdował jakiś pretekst, aby pozostać.

– Myślałem, że musisz to najpierw ugotować.

– To nie ten przepis. – Joni mieszała rozpuszczoną masę drewnianą łyżką, aż do całkowitego połączenia składników. Następnie przelała ją do czterolitrowego naczynia i wstawiła do lodówki.

– Czy nie byłoby prościej pójść do najbliższego sklepu i kupić kilogram lodów? – Zastanawiał się, co też Joni miała pod krótkimi, kwiecistymi spodenkami: bikini, które ledwo zakrywały jej kształty, czy też wykrojone według francuskiej mody majteczki, których widok tak szybko go podniecał.

– Owszem, prościej. – Oplukwała ręce nad zlewem i wytarła je w ręcznik. Podeszła do szuflady i wyjęła z niej młotek. – Lecz nie lepiej.

Bikini i bez stanika, zdecydował, gdy się do niego odwróciła. Podniósł obie ręce i objął nimi małe, jędrne piersi Joni. Poczł jak

twardnieją jej sutki poprzez delikatną tkaninę różowej bluzy. Bardzo to go podniecało. Joni z trudnością zapanowała nad sobą. Reagowała na dotyk Chance'a zawsze z jednakową siłą, bez względu na to, czy była to noc, czy dzień.

– Proszę – powiedziała, wręczając mu młotek zajmij się czymś użytecznym. – Odwracając się, poprowadziła go do tylnych drzwi wiodących na ganek.

Chance nie spuszczał wzroku z jej wspaniałej figury, gdy wychodził za nią z kuchni. To niebywałe, jak zmienił się jego gust. Kiedyś wołał pełniejsze kształty. Jednak ostatnie doświadczenia przekonały go, że się mylił – mięso jest zawsze najsmaczniejsze tuż przy kości.

Joni podniosła pokrywę zamrażalnika i pochyliła się, by coś z niego wyjąć.

– Jak długo będzie się to chłodzić?

Podeszła do niego z szelmowskim uśmiechem.

– Mniej więcej tyle, ile ci zabierze narąbanie pięciu kilogramów lodu.

Grymas pojawił się na jego twarzy.

– To niezupełnie to, o czym myślałem.

Zmarszczyła nos z wyraźną dezaprobatą.

– Jeżeli chcesz jeść lody, musisz mi pomóc je zrobić. Takie są zasady w tym domu.

– Mam ochotę – zamruczał żartobliwie, sięgając po ciężką torbę, którą trzymała w ręku – lecz nie na lody.

Joni zaśmiała się, odmierzając trzy szklanki soli, którą zamierzała dodać do lodu właśnie rozbijanego przez Chance'a. Ten ostatni tydzień był najszczęśliwszy w jej życiu, tak wypełniony śmiechem i miłością – nigdy nie przypuszczała, że takie życie jest możliwe! Ale nic nie trwa wiecznie. Nadchodził dzień rozstania.

– A propos, zadzwonił Tex, gdy pracowałeś przy samochodzie dziadka.

– Czego chciał? – zatrzymał się, patrząc w jej niespokojne, niebieskie oczy. Obydwoje dobrze wiedzieli, że samochód był

jedynie pretekstem dla Chance'a, aby побыć w domu jeszcze trochę dłużej.

– Powiedział, że próbki pobrane z nowego miejsca dobrze się zapowiadają i że jest gotów w każdej chwili przystąpić do budowy szybu.

– Zadzwoń do niego, jak tylko z tym skończę. Chance zaciekle uderzył młotkiem w lód, odłamując za jednym zamachem jakieś dobre dwa kilogramy. Nigdy przedtem nie czuł się tak rozdarty między kobietą a pracą. Jednak dopiero teraz był naprawdę zakochany.

Joni postawiła na stole pełną filiżankę i dotknęła palcami ust, jak gdyby chciała powstrzymać prośbę, aby jej nie opuszczał. Z trudem opanowując łzy, postanowiła za wszelką cenę myśleć o czymś innym.

Nagi do pasa Chance trzymał w ręku młotek i rozbijał bryłę lodu. Popołudniowe promienie słoneczne wdzierały się przez żaluzje okienne. Byszczące krople potu pojawiły się na jego ogorzalej skórze, a każdy ruch jego piersi i ramion uwydatniał harmonijne umięśnienie męskiego ciała.

Lubiła na niego patrzeć. Wszystko się jej w nim podobało: rysunek szczęk, linia brwi, naturalnie układające się czarne włosy. Jedynym pragnieniem Joni było pozostać z Chance'em do końca życia, spać z nim każdej nocy i budzić się każdego ranka, widząc go przy sobie. Wiedziała jednak, że na razie nie było na to szans.

– Zrobione – zakomunikował, odkładając młotek na bok i uśmiechnął się szeroko.

– Zrobię lody, a ty w tym czasie zadzwoń.

Odwróciła się, żeby ukryć łzy.

Godzinę później Joni siedziała na kolanach Chance'a i pomagała mu wylizywać pozostałe po kręceniu lodów resztki znajdujące się na drewnianym tłuczku. Udami obejmowała jego nogi, a między nimi trzymała duży talerz, na który spadało to, czego nie udało im się schwytać. Gdy tłuczek był już dokładnie wylizany, Joni położyła ręce na ramionach Chance'a. Mocno ją przytulił.

– Jesteś brudna od ucha do ucha – zamruczał jak kot, dotykając językiem kącików jej lepkich ust.

– Ty również – śmiejąc się, odwzajemniła dotyk Chance’a, co sprawiło, iż poczuła się nieco zamroczone. Uczucie to było podobne do nastroju nastolatki popijającej potajemnie whisky.

– Coś takiego! – jego wargi były chłodne, lecz oddech ciepły, gdy oblizywał jej twarz, jak kotka swoje kocięta.

– Przeoczyłem jeszcze sporo miejsc.

– To są piegi – łagodnie zaprotestowała, czując przyspieszone tętno krwi w żyłach.

Tymczasem Chance przeniósł swoje zainteresowanie na wrażliwą piegowatą szyję. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem na temat zbliżającego się rozstania, aby nie psuć wspaniałego nastroju. W końcu Joni, pokonując wewnętrzny opór, zapytała:

– Kiedy wyjeżdżasz?

Chance przesunął rękami wzdłuż jej ud.

– W niedzielę rano.

Tak mało czasu...

– Będiesz za mną tęsknić? – wzdrygnęła się, lecz natychmiast rozprężyła, gdy poczuła jego dotyk po wewnętrznej stronie uda.

Odkrył, ku swemu niezmiernemu zaskoczeniu, iż Joni znajduje się już w stanie najwyższego podniecenia seksualnego.

– Czyż niebo nie tęskni za gwiazdami?

Pocałowali się żarliwie, dzieląc się jednocześnie smakiem waniliowych lodów. Joni opuściła ręce na jego szerokie ramiona, szaleńczo do niego przywierając.

– Jak długo będą się te lody mrozić? – zapytał, odwracając się od niej na chwilę.

– Kilka godzin – wyszeptała bez tchu. – Dlaczego pytasz?

Chance wstał wraz z Joni oplecioną nogami wokół jego talii i wyniósł ją w ten sposób z kuchni.

– Bo potrzebuję właśnie co najmniej tyle czasu, aby odtajać.

– Zmęczona? – zapytał, idąc po schodach w jej kierunku.

– Raczej tak – przyznała, czekając na niego. To był bardzo pracowity dzień. Z pomocą Chance’a Joni zebrała pomidory, a następnie pomogła mu w przygotowaniach do jutrzejszej podróży. Po kolacji wybrali się na rozdroża, aby Chance mógł się ze wszystkimi pożegnać. Zatańczyli ze sobą jeden taniec i poszli prosto do domu, aby mieć jeszcze trochę czasu dla siebie.

– Zbyt zmęczona? – zapytał z wahaniem, zatrzymując się przy drzwiach wspólnej, już teraz, sypialni.

– Nigdy – spojrzała na niego znacząco i weszła przed nim do pokoju, który tak kontrastował z jej przytulnym pokoikiem z wiklinowymi meblami i mnóstwem koronek.

Blask księżyca wdzierał się do środka przez zaciągnięte surowe zasłony i oświetlał meble wykonane z drewna pokrytego błyszczącą politurą oraz biały tynk ścian, potęgując uczucie dużej przestrzeni. Meble wykonane były z wysokogatunkowego drewna i miały swoją historię.

Oszklona toaletka przybyła wraz z dziadkami ze Szkocji, kredens był prezentem ślubnym otrzymanym przez babcię od dziadka, podczas gdy nocny stolik to prezent ofiarowany matce przez ojca. Delikatnego koloru kołdra, o wzorze szachownicy, pokrywała stare, mosiężne łóżko, w którym przyszły na świat już cztery pokolenia tej samej rodziny. Joni miała nadzieję, że będzie wraz z Chance’em kontynuowała te tradycje.

Odsunąwszy kołdrę, zdjęła niebieską, dżersejową sukienkę i wraz z bielizną rzuciła w nieładzie na podłogę. Nie mając na sobie nic prócz niezliczonej ilości piegów i figlarnego uśmiechu na ustach, położyła się do łóżka, czekając na Chance’a.

– Bałeś się, że będziesz musiał odejść bez właściwego pożegnania?

Chance szedł w jej kierunku, rozbierając się po drodze. Kiedy dotarł do łóżka był już zupełnie nagi. Patrząc na jej drżące od miłosnego oczekiwania ciało, okrywał każdy jego fragment namiętnymi pocałunkami, aż stwierdził, że jest już wystarczająco przygotowana do miłosnego aktu.

– Kocham cię, Joni – wyszeptał, zanurzając się w jej rozgrzane

ciało.

– Ja też cię kocham, Chance – zamruczała, przyciągając z całej siły do siebie jego biodra. Podmuch wiatru poruszył firankę w oknie. Chance zanurzył dłonie w jej nieprawdopodobnie rudych włosach i rozpostarł je na poduszce.

– Wciąż dostaję dreszczy na wspomnienie tej chwili, gdy po wybuchu zobaczyłem cię biegnącą w stronę szybu.

Joni delikatnie ugryzła mięsisty biceps, zaskoczona jego smakiem i budową.

– Myślałam, że umrzesz, więc chciałam umrzeć wraz z tobą.

– Jeśli jeszcze kiedykolwiek zrobisz coś takiego, to... – zniżył głos i uszczypnął jej szyję, traktując te zabiegi jako wstęp do nowej gry miłosnej.

– To co? – odezwała się wyzywająco.

Chance uśmiechnął się tajemniczo. Joni przesunęła palcami po jego czarnych włosach i pociągnęła za nie mocno, aż zmusiła go do podniesienia głowy.

– To co?

– To... – wykonał szybki ruch biodrami, doprowadzając ją do utraty tchu. – Zrobię właśnie to.

Uśmiechnęła się i odpowiedziała mu, kopiując wiernie jego gest. Znowu się pocałowali, obserwując dokładnie wygląd swych idealnie połączonych ciał. Był to fizyczny dowód więzi duchowej istniejącej między mężczyzną i kobietą, której nie były w stanie zerwać ani odległość, ani czas.

Joni, żyjąca przez cały czas w Redemption i niespokojny włóczęga – Chance mieli nareszcie swój wspólny dom.

– Joni?.

– Tu jestem.

Chance zatrzymał się w progu kuchni, rozważając kilkanaście sposobów pożegnania, gdy Joni odwróciła się od lady. W tym momencie Chance zobaczył na niej swoją starą, białą koszulę. Rękawy miała podwinięte do łokci, a jej dolny brzeg opasywał uda, ukazując piegowate nogi.

Joni podkurczyła nagie palce u stóp. Stała jednak nieruchomo, podczas gdy magnetyczne, zielone oczy Chance'a wędrowały od wysokiej partii jej ud, aż do niesamowitej aureoli włosów, które otaczały jej melancholijną twarz.

– Nie ułatwiasz mi tego – powiedział z wyrzutem.

– W porządku – powiedziała gwałtownie. Stała w jego koszuli, z niemą rozpaczą na twarzy. Zdecydował, że będzie to jego ostatnia podróż na pewien czas. Na dosyć długi czas. Joni spojrzała na Chance'a, przygotowanego już do wyjazdu i nagle pragnienie, aby mieć coś od niego, coś co pomoże jej złagodzić ból rozstania, owładnęło ją niepodzielnie.

– Skończyłem załadunek samochodu – powiedział, pozornie nie dostrzegając jej smutku.

– Znalazłeś torbę z prowiantem, którą ci przygotowałam? – zapytała drżącymi wargami.

Skinął głową.

– Włożyłem ją do lodówki.

Joni spojrzała na zegar wiszący nad piecem, próbując nie widzieć mężczyzny stojącego w progu.

– A więc, to chyba jest pożegnanie...

– Nie.

– Nie? – spytała zaskoczona.

Chance znalazł się nagle przy Joni, przyciągnął ją do siebie, prawie podnosząc w górę. Nie miała nic pod koszulą. Szorstki drelich spodni ocierał się o jej gołe uda. Usta Chance'a zbliżyły się do jej twarzy, Joni przywarła do nich w rozpaczliwym pocałunku.

– To właśnie jest pożegnanie – wyszeptał ochryłym ze wzruszenia głosem, podnosząc w górę głowę. Joni czuła nieodpartą chęć, by jej palce pozostały wśród tych lśniących, czarnych włosów, lecz zmusiła się do opuszczenia rąk.

– Do widzenia Chance.

Podnosząc jej ręce do ust, ucałował gorąco każdy z palców.

– Obiecuj mi, że do pracy będziesz używała rękawic.

Kiwnęła głową na znak zgody. Jednocześnie podniosła w górę

oczy, wypowiadając swoją prośbę.

– Przysięgnij, że gdy będziesz stał na platformie, nigdy nie zapomnisz założyć linki bezpieczeństwa.

Obojgu bardzo trudno było się rozstać: ona chciała go jak najdłużej zatrzymać przy sobie, on nie chciał jej wypuścić ze swych objęć.

Poranne słońce wlewało się przez okna o podwójnych szybach, a kuchnia przepełniona była zapachami, tak charakterystycznymi dla tego domu. Zegar z kukułką nieubłaganie odmierzał uciekający czas. Świeża kawa grzała się na kuchence. Pies zaskomlał zwinięty w kącie, prawdopodobnie goniąc we śnie za królikami.

Chance zrobił kilka kroków w tył, zdając sobie sprawę, że wychodzi mu to bardzo ślamazarnie i odwrócił się na pięcie.

Joni odprowadziła go do drzwi wyjściowych, zachłannie wpatrując się w czarne włosy i ogorzałą skórę ukochanego. Jej nieme usta powstrzymywały szaleńcze prośby o pozostanie. Zegar przy wyjściu wybił ósmą. Joni wyszła za Chance'em na ganek. Stara, dębowa huśtawka zaskrzypiała na wietrze, gdy oszalałe z bólu serce Joni wołało: „Proszę, nie zostawiaj mnie!”

Już na szczycie schodów Chance odwrócił się.

– Czekaj na mnie! Wkrótce wrócę! – obiecał. Niedaleko domu, na ścieżce, czekał na niego czerwony kabriolet, którym miał odjechać. Joni poczuła jak serce w niej zamiera, gdy Chance podchodził do samochodu. Zanim jednak otworzył drzwi i wszedł do środka, wyjął coś z jego wnętrza. Łzy, przed którymi tak długo się broniła, płynęły po jej policzkach, gdy Chance podszedł do schodów i podał jej kask dziadka. Przytuliła mocno do serca ten stary, pozbawiony już od dawna zapięcia relikwiarz przeszłości.

– Wrócę za miesiąc, góra sześć tygodni.

Jej oczy, których nigdy nie mogłby zapomnieć, błyszczały przesłonięte mgłą wzruszenia.

– Będę czekała.

Usłyszała go, zanim zdołała zobaczyć – były to

charakterystyczne dźwięki maszyny pokonującej opór powietrza. Nieczęsto się zdarzało, aby jakikolwiek samochód zjawiał się w tej odległej od szosy okolicy, a tym bardziej, jeśli był to... odrestaurowany thunderbird '56. Karoseria ostro odbijająca promienie słoneczne, spuszczone dach – klasyczny kabriolet fiesta. Toczył się wśród drzew, przez pastwiska, mijał pędzone drogą krowy.

„You're the Reason, God Made Oklahoma” ryczało, rozkręcone na pełny regulator, radio, skutecznie konkurując z potężnymi, przy tej szybkości, podmuchami wiatru. Kierowca trzymał prawą rękę na kierownicy, lewą na drzwiach samochodu, a myślami był przy kobiecie o wspaniałych nogach.

Joni zdjęła rękawice, gdy zdała sobie sprawę, kim był ten ktoś, jadący w kierunku jej domu. Żwir sypał się spod jej stóp, a rude włosy rozwiewały się za nią na wietrze, gdy biegła go powitać. Tak wiele miała mu do powiedzenia, tak bardzo pragnęła go zobaczyć.

Dobrze spożytkowała te sześć tygodni samotności. Pośrednik obrotu artykułami żywnościowymi z Oklahomy był tak zaskoczony ilością i jakością jej pomidorów, że natychmiast podpisał z nią kontrakt na jesienny zbiór brokułów. Była to uprawa organiczna, bez użycia jakichkolwiek środków owadobójczych. Dodatkowe pieniądze, jakie spodziewała się uzyskać, chciała przeznaczyć na pomalowanie domu jeszcze przed dniem ślubu. Zdecydowała, że uroczystość odbędzie się w domu. Doktor Rayburn zgodził się zastąpić jej ojca. Gdy któregoś dnia robiła porządki na strychu, natknęła się na ślubną suknię babci. Delikatny, romantyczny jedwab ozdobiony był dodatkowo szyfonem. Suknia nie wymagała najmniejszej poprawki. Poza tym od pewnego czasu Joni zastanawiała się nad przeróbką swego pokoju na pokój dziecięcy.

U Chance'a również wiele w tym czasie się wydarzyło. Texa awansował na kierownika i wynajął geologa, który miał pobrać próbki ziemi i przetestować je. Oczywiście Chance będzie dalej uzgadniał wiele spraw i podejmował ostateczne decyzje. Jednak

większość prac będzie teraz mógł wykonywać siedząc w domu. Prezentem ślubnym, jaki Chance wybrał dla Joni był fotel na biegunach do ich sypialni, wykonany ze wspianiałego klonu. Właściciel sklepu z antykami zaklinał się na Biblię, że dostarczy go do Redemption najpóźniej w dniu ceremonii ślubnej

Chance zwolnił, skręcając w bramę prowadzącą na arenę. Zatrzymał się tuż przy biegnącej w jego stronę Joni i otworzył przed nią drzwi samochodu.

– Czy będzie pani moją, piękna damo?

– Zawsze i aż do śmierci.

Joni usiadła tuż przy ukochanym mężczyźnie. Gorący powitalny pocałunek i lzy szczęścia były nagrodą za dni rozstania.

– Witaj w naszym wspólnym domu, Chance.
